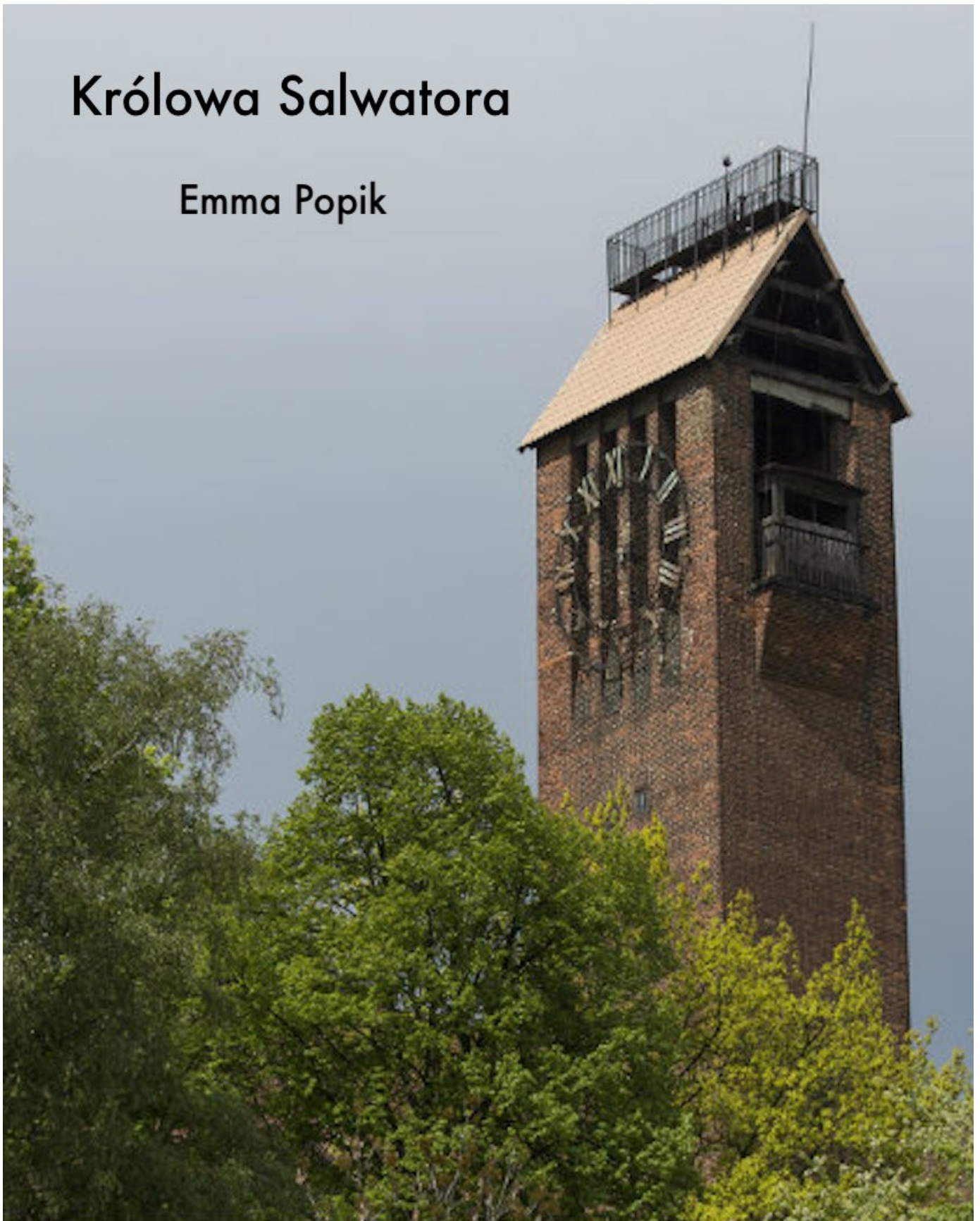


Królowa Salwatora

Emma Popik





Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe (CC BY-NC-ND 4.0)

Poniższy tekst jest jedynie przystępnym podsumowaniem [licencji](#) (której nie zastępuje). [Klauzula ograniczenia odpowiedzialności](#).

Wolno:

Dzielenie się — kopiuj i rozpowszechniaj utwór w dowolnym medium i formacie. Licencjodawca nie może odwołać udzielonych praw, o ile są przestrzegane warunki licencji.

Na następujących warunkach:

Uznanie autorstwa — Utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne — Nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych

Bez utworów zależnych — Remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

Brak dodatkowych ograniczeń — Nie możesz korzystać ze środków prawnych lub technologicznych, które ograniczają innych w korzystaniu z utworu na warunkach określonych w licencji.

Uwagi:

Warunki licencyjne nie muszą być przestrzegane w odniesieniu do tych fragmentów licencjonowanych treści, które znajdują się w domenie publicznej, lub w przypadku sposobów korzystania dozwolonych przez odpowiednie wyjątki lub ograniczenia prawa autorskiego.

Licencjodawca nie daje żadnych gwarancji. Licencja może nie zapewniać wszystkich niezbędnych zgód dla niektórych użycí utworu. Dotyczy to w szczególności innych praw, takich jak ochrona wizerunku, prywatności czy autorskie prawa osobiste. Mogą one ograniczać możliwości wykorzystania utworu.

Królowa Salwatora

powieść

Emma Popik

Rozdział I - Zegar

- Stromo! I wysoko. - Petra spogląda w górę. Uniósłszy głowę, osłoniła dłonią oczy od słońca. Na szczycie góry zbudowano potężną twierdzę. Na murach osadzono wysoką wieżę. Widać ją było z każdego punktu miasta, położonego u podnóża. Przewyższała szklane wieżowce i kościoły, i ten największy, będący znakiem miasta.

Drobna kobieta wspina się na szczyt, chce zobaczyć zegar na wieży. Idzie uparcie, z zaciętymi ustami. Myślała o wyprawie przez całą zimę. Nie odważyła się podjąć wędrówki przez zaspy śnieżne, gdy wcześniej zapadał zmrok. Nie groziło jej niebezpieczeństwo. Mieszkała w tej dzielnicy od dziecka. Biegała z koleżankami po lesie, zbierały pierwiosnki i dzikie tulipany. Wybrała się teraz, w pierwszym dniu wiosny.

Nagle stop, nie ma drogi. Na piaszczystej powierzchni, zrytej gnającą z góry wodą, piętrzą się kamienie i żwir. Gdy zrobi krok, noga uwięźnie w rynnie, wyżłobionej strumykami wody. Przeskakiwanie z kamienia na kamień grozi wykręceniem kostki. Schodzi na skraj pomiędzy drzewa. Chwytając się pni, idzie noga za nogą, schylając się pod gałęziami, wiszącymi ponad głową.

Las wyrósł dziko na pięknych niegdyś terenach parku, gdzie na ławkach zasiadali eleganccy mężczyźni w towarzystwie kobiet w kapeluszach i prowadzili uprzejmą konwersację. Toczyła się w języku niemieckim, a oni spoglądali na Danzig z wysokości dzielnicy Biskupia Górka. W ich oczach ujawniała się duma i zachwyt z powodu miejsca zamieszkania, ale w pewnym okresie pojawił się lęk. Potem zeszli na dół i już ich nie było.

- Petra, stój! - wrzasnęła idąca za nią Krycha. - Powiesz mi, po co tu leżymy?

- Chodź - ponagliła gestem dziewczynę.

- Mówiłaś, że historia wprost krzyczy z każdego kamienia - Kryśka kopnęła najbliższy, zagradzający drogę - ale chyba nie z tego.

- Jeszcze kawałek, widać zręby murów.

- Mam dość! - wrzasnęła. - Przez cały kurs przewodników nawijałaś o twierdzy. Wreszcie namówiłaś mnie na tę wyprawę. Po co?

Obróciła się w stronę dziewczyny, obejmując ramieniem pień drzewa. Czowała pod dłonią szorstkość kory, już wilgotniejszej od soków. Teraz jej wyjawia tajemnicę i cel.

- Posłuchaj, Krysiu - zaczęła.

- Jestem Krycha - wrzasnęła. - Jaki dziś dzień?

- Pierwszy dzień wiosny - szczupłe palce pochwyciły gałązkę na drzewie.

- Wleciesz mnie, by sprawdzić moją wiedzę, co? No to posłuchaj! Właśnie tego dnia roku 1939 gauleiter Albert Forster - chwaliła się Kryśka - zawiesił wiechę tam, na dachu - wyciągnęła ramię. Wznoszono schronisko młodzieżowe dla kształcenia kadr Hitlerjugend. Budowa opóźniła się ze względu na wybuch wojny. Doprowadzono ją jednak do końca i młodzież niemiecka mogła przyjeżdżać tu, do Jugendherberge, by poczuć więź, ideę i wspólnotę. Architektura pokazuje prestiż miejsca i celu, jakiemu służyła. Miała przyćmić wszystkie budowle tego typu.

- Musisz wiedzieć, że... - Petra rozchyliła palce i gałązka sprężyście się odgięła.

- Wyprawa edukacyjna? Ukończyłam kurs, który zorganizowałaś w klubie, szanowna pani kierownik. I koniec nauczania i zarządzania. Wykuję popularne trasy, by zaliczyć egzamin, a tu nie będę przychodzić. - Obróciła stopy na powierzchni kamienia. - Zawracam.

- Nie chcesz zabłysnąć przed turystami.

- Czekam tylko na sezon letni, wtedy wszystkim pokażę - poderwała arogancko brodę.

- Widzisz tę wieżę? - mentorka wskazała ramieniem.

- Cholerne słońce. Wieża, no wiem. Ma ponad sto metrów. - Obróciła się, patrząc na miasto. - Gauleiterowi chodziło o to, żeby przewyższyła bazylikę Mariacką. Z tego miejsca wieża kościoła rzeczywiście nie wygląda imponująco. Forster chciał być lepszy od swego Danzigu. Ha, ha, ha! Gdańsk u stóp. Pif, paf, strzelają grenadierzy, armaty załadować. Bum, bum! Wiele razy tak było, wojny napoleońskie...

- Zegar - wrzasnęła do dziewczyny - patrz! Tam, no spójrz wreszcie!

Zamontowano go na szczycie wieży. Był olbrzymi. Okrągłą tarczę otaczało metalowe obramowanie z dwunastoma rzymskimi cyframi godzin.

- Przecież jest popsuty. - Kryśka wymacywała stopą następny kamień. - Co mnie zegar obchodzi, i tak zdam egzamin.

- Duże wskazówki wskazują wciąż tę samą godzinę. Wiesz, którą? - Nie czekała na odpowiedź. - To 4.45. Od tamtej chwili nie posunęły się ani o sekundę. Zegar zamarł, czas również się zatrzymał.

- Co? Czas stoi? - Ze śmiechu omal się nie ześliznęła z kamienia.

Petra spojrzała dziewczynie prosto w oczy. Skupiała jej uwagę, by wyjawic, czego po niej oczekuje. Kryśka wreszcie stanęła mocno nogami na ziemi, pewna swej pozycji.

- Jest to godzina, w której slychać syk pożarów, łomot domów walących się w gruzy, jęki rannych i ostatnie oddechy umierających - mówiła do dziewczyny. - Padały wtedy bomby, waliły się domy. I ta godzina nie minęła. Stoją na niej wskazówki zegara. Dzielnica na nie patrzy, widzi ją, i tkwi w tamtym czasie, unieruchomiona, bezradna, pozbawiona czasu przyszłego.

- Popsuł się i tyle. - Kryśka wykrzywiła pogardliwie usta.

- Wojna wciąż tu trwa.

- Bo zegar stanął, co ty! - dziewczyna wybuchła głośnym śmiechem.

- Kiedy wskazówki się obróca, zepchną w przeszłość czas, który minął, zaczną odmierzać czas przyszły. Dla nas będzie przeznaczony i wszystko stanie się od nowa.

- Co to za brednie! - Kryśka spojrzała sponad ramienia.

- Symbolika. Jeśli pojdziesz, otrzymasz szansę przyłączenia się do projektu.

- Chcesz uruchomić zegar? Szalona! - krzyknęła Krycha. - Na co ty się porywasz!? Jak zamierzasz tego dokonać? Zegar zamontowano na wieży - odgięła jeden palec. - Same wskazówki są duże, zrobione z metalu, ciężkie - odgięła drugi. - A ile waży cały zegar?

- Kilkaset kilo albo i tonę - odpowiedziała spokojnie.

- I ty chcesz ściągnąć zegar z wieży i dać do naprawy?

- Dodaj, że potem trzeba będzie go zawiesić.

- No tego się nie spodziewałam - wciąż darła się dziewczyna. - Jeśli potraktuję poważnie tę głupią gadkę i opowiem turystom, że popchnęliśmy czas, oni na to: tu się puknij! - uderzyła się palcem w środek czoła - po prostu, cyrk. Czyste wariactwo. O, na pewno nie zdołasz mnie namówić. Nie przyłożę ręki do tego idiotyzmu, wprost przeciwnie: będę głośno rozpowiadać, jakie głupie plany ma nasza kierowniczką. Chcesz się ośmieszać, rób to na własne konto. - Krycha wzięła się pod boki. - Jesteś nieodpowiedzialna.

Petra poczuła ogromne rozczarowanie i niepokój, słysząc groźbę publicznej kompromitacji. Niebezpieczeństwo wyglądało realnie: Kryśka miała wybuchowy charakter, była nieobliczalna. Mogła

zniweczyć działania. Dziewczyna, którą edukowała i traktowała jak przyjaciółkę, zadała jej silny cios. Jak się zabezpieczyć, jak ratować zamiar ważny dla całej społeczności?

Stała chwilę, by odzyskać w sobie równowagę. Pochyliła się nieco, jakby pokonywała wiatr i zrobiła duży krok do przodu. Musi zobaczyć tarczę i wskazówki. Miała w sobie nakaz do działania, zegar w psychice, który nigdy się nie zatrzymywał. Ten na wieży był tego zewnętrznym materialnym znakiem.

Mury twierdzy były na wyciągnięcie ręki. Chciała przeskoczyć ostatnie metry po kamieniach, ale nagle usłyszała, że jej wewnętrzny zegar zamilkł. Podniosła głowę, rozejrzała się, szukając przyczyny. W poprzek ścieżki rozciągnięto policyjną taśmę. Owinięto ją wokół pni drzew. Pochwyciła plastikową taśmę, unoszoną podmuchami wiatru do przodu i do tyłu, szarpnęła, rozciągnęła na boki, naparła stopą. Choć jej zegar stał i rozumiała ostrzeżenie, pragnienie tak silnie ją pchało, że nie mogła jej zatrzymać głupia plastikowa taśma policyjna. Pochyliła się, skurczona, dotykając niemal ziemi rękami, zrobiła krok pod taśmą, prosto w głęboki lej, pełen żółtego piachu. Zsypywał się spod jej butów, szeroką strugą. Jednym rzutem cofnęła się pod taśmą. W miejscu, gdzie przed sekundą stała, olbrzymia bryła piachu runęła w dół. Zrobiła się wyrwa, piasek wciąż się sypał w głąb, czyniąc to coraz szybciej i pochłaniając brzegi krateru. Odskokczyła, zakręciła się na pięcie i odeszła dużymi krokami. Uratowała się w ostatniej chwili.

Krycha otworzyła usta, by wykrzyknąć pytanie.

- No jak tam zegar? Stoi czy wisi? - zapytała złośliwie.

- Wracamy. Chodź na skróty. - Zakręciła w las. Szła szybko, nic nie mówiąc. Nie padło ani jedno słowo, gdy schodziły na skos ze wzgórza.

Nagle się zatrzymała, wyciągnęła ramię w bok, stopując dziewczynę. Pomiędzy drzewami majaczył niewyraźny kształt, ledwo widoczny za grubymi pniami.

- Co to jest? - wyszeptała Kryśka ze strachem.

- Ktoś tam siedzi u wejścia do bastionu.

- Nie rusza się - w głosie dziewczyny brzmiało przerażenie - trup wyschnięty. Zamarzł przez zimę.

Siedzący nagle podniósł głowę i rzucił spojrzenie w stronę przyczajonych kobiet.

- Uciekajmy! - krzyknęła dziewczyna - to bandyta.

Mężczyzna znowu się pochylił. Petra spostrzegła, że siedzący ma na sobie granatowy skafander. Był policjantem. W budynku dawnego schroniska Hitlerjugend mieściła się Policja. Nagle przez jej plecy przebiegł dreszcz niepokoju: czyżby zauważyli, że przeszła pod taśmą, zlekceważyła zakaz, złamała przepis? Tego nie wolno jej czynić, była na kierowniczym stanowisku i wiele od siebie wymagała, a tymczasem jednym bezmyślnym ruchem pogwałciła swoje zasady. Być może policjant ją zatrzyma i zada wiele nieprzyjemnych pytań. Nie chodziło jej o wstyd, nie będzie się tłumaczyć przed innymi, nie dbała o cudze opinie na temat swojej osoby, liczyła się tylko jej własna ocena. Już miała zamiar podejść do policjanta i się wytłumaczyć ze swego postępku, gdy on nagle się wyprostował patrząc przed siebie. Przed oczami trzymał jakiś przedmiot. Tak trwał chwilę, potem się pochylił. Na kolanach, jak zauważyła, rozłożył sobie duży zeszyt czy blok. Uzyskała pewność, że nie robi notatki służbowej, ale coś zupełnie prywatnego. Rysuje zabytek, czyniąc to dokładnie i mierząc.

- Nie przeszkadzajmy. Chodź. - I weszła pomiędzy drzewa, schodząc ze zbocza i zostawiając za sobą stary Bastion Salwator i człowieka, który był tak do niej podobny w swym działaniu i pasji. Schodziły w dół lasem, by dotrzeć do schodów na szczycie ulicy.

U dołu ulicy, po przeciwnej stronie, dwaj mężczyźni idąc w górę schodów, wzdłuż ściany kościoła mennonitów, musieli podnosić kolana i stawiać duże kroki, by ominąć wysokie brzegi stopni, wyciosane z kamiennych bloków. Wgłębienia pomiędzy nimi wydeptane milionami kroków, czyniły je wyższymi. Łatwo było zahaczyć o nie nogą i się przewrócić.

- Powinni zrobić porządne betonowe schody - rzekł robotnik w szarych spodniach i bluzie - a to - kopnął w kamienny blok - wyrzucić na śmietnik.

- Najpierw trzeba rozwalić te stare rudery, która uważają za zabytki - urzędnik w czapce z daszkiem wskazał ręką. - Nie da rady wytyczyć nowej drogi, jeśli w poprzek stoi barak, gdzie jest dwoje drzwi, jedna lokatorka, i tymczasowo wynajęty lokal na lombard. Zabytek! Perła architektury i kultury.

Robotnik zaczepił dolnym brzegiem wiadra o kamienny stopień, powierzchnia kleju się zakołysała. Postawił je. - Idź pan pierwszy. Bo niechący mogę chlapanąć na spodnie urzędowego garnituru.

Urzędnik nacisnął głębiej czapkę na czoło i uchwyciwszy się poręczy, pobiegł w górę. Kiedy robotnik do niego podszedł i postawił wiadro przy swojej nodze, patrzył na szary budynek, podpierając się pod boki.

- To ta rudera. Walczyli całym latami o wpisanie do rejestru zabytków.

- Co tu podziwiać - robotnik wzruszył ramionami - barak, ściany wybetonowane, zwyczajne drzwi i okna, nadzarte porządnie przez korniki - podszedł bliżej i poskrobał ramę paznokciem - próchno się sypie - spojrzał na swoją rękę i obrócił wzrok na urzędnika - jeszcze rok dwa i cegły zaczną spadać ze skarpy.

- Wtedy podniesie się wrzawa: "Zagrozenie życia, Urząd nie troszczy się o mieszkańców!" Oskarżenia, może nawet sądówka, demonstracje przed gmachem Urzędu, szczwani dziennikarze, telewizja - pokręcił głową - nie wolno do tego dopuścić, rozwalimy zawczasu. - Odwrócił się do robotnika - Dawaj pan plakaty.

Robotnik wyjął spod pachy rolkę i zaczął rozwijać.

- Wszystkie, panie Jasiu - napomniał go urzędnik.

Robotnik zrobił obrażoną miną.

- Nie powiedziałem, który plakat nakleić. - Spojrzał na niego z góry. - Nie ty decydujesz. To ja jestem urzędnikiem.

- Na stażu - mruknął cicho robotnik - bez umowy.

Wetknął mu do ręki rulon plakatów. Pochyliwszy się, zamoczył pędzel w wiadrze z klejem i stał, czekając. Popatrzył z ukosa na urzędnika szarpiącego rulon, wyjął pędzel i zaczął nim pociągać z góry na dół po pustej ścianie pomiędzy dwoma oknami.

- Powiedziałem ci, który fragment ściany masz pokryć klejem? - Urzędnik podsunął czapkę do góry. Odstąpił krok do tyłu i wnikliwie oglądał fasadę budynku.

Ręka pana Jasia docisnęła pędzel do ściany, klej zaczął skapywać.

- No dobrze. Możesz dalej smarować. - Urzędnik rozwijał rolkę z plakatami i czytał nagłówki. Nareszcie znalazł właściwy i usiłował go wyciągnąć.

. - Pospiesz się, mam zawieszać w powietrzu!

Usiłował jedną ręką zwinąć rolkę, a drugą jednocześnie rozpostrzeć plakat w powietrzu, wyciągając go ze środka. Wciąż jednak koniec tkwił pod spodem.

Pan Jasiu, odwrócony do niego plecami, w skupieniu pociągał pędzlem pionowo po ścianie. Kiedy nabierał kleju, pochylił się, nawet nie rzuciwszy okiem na urzędnika mocującego się z rulonem i plakatem. Posmarował ścianę w poziomie, zaczepił pędzel o brzeg wiadra, wyprostował ramię i wreszcie jednym szarpnięciem wyciągnął plakat ze zwoju.

- Trzymaj pan za drugi koniec!

Urzędnik złapał za róg, papier się wyprostował i obydwaj zgodnie, idąc w jednej linii, zbliżyli się do budynku i przycisnęli plakat do ściany. Każdy z nich drugą ręką szybko wygładzał zmarszczki i

zagięcia, czyniąc to sprawnie i dokładnie. Przykleiło się, więc się odsunęli do tyłu o dwa kroki i sprawdzali robotę.

- Bez zarzutu. - Jasiu podziwiał robotę i czytał rozporządzenie Urzędu. - Mamy wprawę. Ile to już domów oznaczyliśmy do rozbiórki.

Urzędnik machnął ręką, omal nie upuściwszy rolki z plakatami.

- A co tu kiedyś było? - zainteresował się pan Jasiu.

- Fryzjer.

- Ktoś stracił zakład pracy, panie Nożyc. - Jasiu wybuchnął głośnym rechotem. - Chociaż to nie urząd.

Wciąż się śmiał, gdy urzędnik zawrócił i zaczął schodzić po wystających stopniach, uniósł wiadro z klejem, wylał sporo płynu na schody, lecz wydeptane obniżenia pomiędzy stopniami uratowały urzędnika i nie ugrzązł w tej robocie.

Stał pochylony pod olbrzymim drzewem, rosnącym obok kościoła mennonitów. Niemał dotykał pnia policzkiem. Wdychał zapach otwartymi ustami. Zacerpnął porządny haust i się wyprostował. Potem wyciągnął rękę i w podziękowaniu pogładził korę. Zbliżył się i zaczął zaglądać w szczeliny i szpary pnia. Odginał płatki kory, lecz zaraz na powrót dociskał je palcem, sprawdzivszy, jakie żyjątka pod nią mieszkają. U góry w grubych konarach skrobały pazurki, mieszkaniec wielkiego drzewa przemknął, znikając w gałęziach.

- Chyba cię nie obudziłem - rzekł z uśmiechem, unosząc głowę.

Za żelaznym ogrodzeniem posesji zatrzymał się siwy mężczyzna w czarnym berecie i sportowym ubraniu. Obiema rękoma uchwycił się sztachet i obserwował czynności znajomego pod drzewem. Ten obszedł pień naokoło, oglądając korzenie i nareszcie zobaczył stojącego przy bramie.

- Witam, doktorze.

Lipnicki skinął głową. - Wiosenne porządki, panie Gospodarski?

- Wkrótce tu się zaroi od owadów, motyli, ptaków i małych zwierzątek. - Miłośnik przyrody wskazał na drzewo. - Będą świergoty, trele i piski.

- To chyba buk? - doktor Lipnicki uniósł głowę. - Czerwone liście.

- Bezcenny, zakorzeniony, trzyma ziemię, rozsiewa zapachy i nasiona.

- Nie słyszałem, żeby pędzić wódkę z buczyny. - Doktor rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Wiele ptaków się nimi żywi - w głosie Gospodarskiego brzmiał ton oburzenia - o dzikach nie wspomnę, bo ich tu nie ma.

- Drzewo nikomu chyba nie przeszkadza jak tamten sad - doktor Lipnicki wskazał ramieniem w lewo.

- Mówi pan o sadzie przy kościele - rzekł ze smutkiem Gospodarski - biegało się tam na kwaśnie jabłka. Zrąbany. Parking był bardziej potrzebny. Przecież wierni nie przyjadą na mszę, gdy nie będzie miejsca do parkowania.

- Buk stoi na posesji kościoła. Może zarządca ma jakieś prawa i plany. Mennonici to porządni gospodarze. - Doktor Lipnicki przestał oglądać drzewo i zwrócił się ku rozmówcy. - Niech się pan tym zainteresuje - ostrzegł go - póki pora.

- Słyszał pan coś? - zaniepokoił się Gospodarski.

- Jest program "Pomnik przyrody" - napomknął doktor. Nagle zaczął się spieszyć i skierował się w stronę schodów.

- Zaczekaj pan. Co to za program, co trzeba zrobić, by się załapać, jakie dokumenty przedstawić, ankiety wypełniać...

- Idź pan z tym do kierowniczk.

- A co ona może, to kobieta. - Gospodarski wykrzywił z pogardą wargi. - Teraz baby wszędzie się wpychają, bo taki trend. Dużo wrzawy narobią, naharują się, głupie, na próżno. Myślą, że mają znaczenie.

- Pomoże panu sprokurować pismo do Urzędu. Tyle już ich wysmarowała, że ma wprawę.

- Wesprze mnie pan?

- Spieszę się na rower - doktor już zbiegał ze schodów, uważając na wystające kamienne stopnie. Odwrócił się jeszcze ku Gospodarskiemu. - Widziałem ją na szczycie Biskupiej, na pewno idzie pod czwórkę. Te kobitki ciągle coś tam organizują.

- Niby co?

- Porady dla pijaków. Teraz się mówi uzależnionych od alkoholu, żeby przypadkiem nie obrazić tych pijusów.

- Też mają swoją godność. - Przyrodnik odwrócił oczy od lekarza.

- Tę swoją godność dawno utopili w wódzie. Program tych kobit to tylko wyciąganie pieniędzy z Urzędu, żeby pokazać, że są na coś potrzebne. Dublują działania i w gorszym wykonaniu. Jest przecież Centrum Profilaktyki Uzależnień. Mają tam wybitnych specjalistów. Wiem o tym najlepiej.

- Bo pan tam pracował?

- I dobrze znam problem. Kobitki nie odciągają pijaków od kieliszka, choćby były takie jak ta Faniusia z wielkimi cycami, które nosi na wierzchu.

- Ludzie mówią - przyrodnik omijał wzrok doktora - że to kierowniczka wszystko zorganizowała.

- Niby co ? - Lipnicki się zatrzymał i spojrzał z ukosa.

- Wymyśliła projekt, napisała, zniosła do Urzędu, dali jej fundusze, wyremontowała lokal, są tam wolontariusze i pracownicy.

- Wymyśliła - prychnął Lipnicki - tak hop, siup! Siadła i napisała. Są konkursy.

- Zdaje się, że pan również startował w konkursie na kierownika. - Przyrodnik patrzył ponad głowę doktora.

Emeryt zbiegł po schodach jak olimpijczyk. Patrząc na plecy doktora, który już dochodził do szosy, przyrodnik stał nieruchomo. Potem spojrzął w górę na czerwone liście.

- Pomnik - rzekł - mój. - I objął ramionami pień.

Czy to było to, czego się bała? Zatrzymała się. Serce waliło jak szalone. Musi zobaczyć z bliska, by się upewnić, że się myli. Oszukiwała się, wiedziała o tym. Ruszyła szybko do przodu. Stopy się ześlizgiwały z kamieni bruku, szła jak postrzelona w nogi.

Ulica ostro skręcała w lewo. Stuletni bruk się urywał, zamieniając w ścieżkę, prowadzącą do przelotowej szosy, wytyczonej w poprzek. Pozostały tu stare poręcze, ochraniające przed wtargnięciem na jezdnię, a obok schodki w dół. Tu dzielnica się kończyła, odcięta nagle, by zrobić miejsce dla asfaltowej drogi.

Po lewej stronie od zakrętu wysoka ziemna skarpa groziła osunięciem. Stojący na niej budynek odwrócił się do miasta ceglana ścianą. Podpierały ją drągi aż do wysokości pierwszego piętra, lecz choć z wysiłkiem napierały belki ramion, już nie wytrzymają długo. Przerażliwie pękającym drewnem połamią się jeden po drugim i padną na ziemię. W środku domu coś jęknie z rozpaczy i wtedy z góry spadnie pierwsza cegła.

Po prawej stronie zakrętu stał jednopiętrowy budynek. Pomiędzy dwoma oknami naklejono na ścianie olbrzymi żółty plakat. Z trudem składała w słowa czarne litery. Kiedy doszła do końca linijki, zaczynała od początku. Oczy znieruchomiały na słowach: "Do rozbiórki". Przecież pisała do Miejskiego Konserwatora, błagając o ratunek dla starych domów, ledwo stojących na drżących ścianach. Przecież przyjął dokumenty. Miał je rozpatrzyć.

Wszystkie wysiłki, protesty, monity, pisma i publiczne dyskusje na próżno. Stała przygarbiona, a potem jej wzrok zaczął wędrować po ulicy i domach. Dzielnica ginęła na jej oczach. Smutnym wzrokiem patrzyła na bezcenne budynki skazane na zagładę. Jak je uratować? Gdzie szukać pomocy i wsparcia? Wydeptała już wszystkie drogi, użyła każdego z możliwych sposobów.

Ramiona zrobiły się ciężkie, jak zrobione z kamieni, nie mogła ich udźwignąć, musiała pozwolić im opaść. Zakołysały się wzdłuż boków i zamarły w bezruchu.

- Stój, gdzie ty idziesz! - wrzask Krychy dobiegł spod drzwi budynku pod numerem czwartym. - Przecież mamy teraz dyżur w klubie.

Kiedy schodziły z góry, dziewczyna postępowała za nią, sapiąc ze złości. Od początku ulicy Biskupiej nie powiedziała słowa.

- Chcę wejść - szarpnęła za klamkę. - Ile mam czekać? Wracaj, no rusz się.

Kierowniczka nie chciała odpowiadać. Nogi wrosły w ziemię, jakby stała się jednością z ukochaną ulicą.

- Po co mnie namawiałaś na wolontariat i tu ciągnęłaś? - dobiegło do niej pytanie dziewczyny. - A to tak traktujesz swoje obowiązki w klubie, pani kierowniczko.

Kryśka miała dosyć łażenia. Chciała usiąść w klubie i zaparzyć sobie kawę. Patrzyła na kierowniczkę, która stała nieruchomo, jakby zobaczyła ducha. Może naprawdę, bo przecież tu właśnie i ona go

widziała. Patrzyła, stukając nogą, tu potrzebny sprytny ruch. Nagle rozciągnęła wargi w słodkim uśmiechu, Zsunęła rękę z klamki, odwróciła się od drzwi klubu. W miarę jak się do zbliżała do postaci w bezruchu wpatrzonyj w czarne litery żółtego plakatu, wargi rozciągały się szerzej.

Petra drgnęła, zobaczywszy ją tuż przed sobą, z tym jej fałszywym przylepionym uśmiechem.

- O, co ja widzę! - z ust spływał miód pochlebstw - masz nowe uczesanie, grzywka modnie ścięta na skos - rysowała palcem w cięcia nożyc, lecz nie odważyła się dotknąć głowy kierowniczkii. - Gdzie się strzygłaś? - Odwróciła się i pokazała ramieniem. - W mieście. Tam, na dole. Chyba nie poszłabyś do tego fryzjera - odstąpiła krok i wytknęła palec na drzwi w szarym budynku. - Pamiętasz specjalizację? Przebój sezonu: trwała parowa. Tylko tu, tylko u nas. - Podeszła aż na środek ulicy. - Hej, gdańszczanie! - machała ramionami, przyzywając wyimaginowanych przechodniów - przybywajcie! - Potoczyła wzrokiem od jednej osoby do drugiej z dumą i satysfakcją. Wreszcie uznała, że grupa jest liczna. - Patrz, co potrafię. - Zatoczyła łuk ramieniem i skłoniła głowę. - Wita państwa dyplomowany przewodnik miejski. - Gałki oczu przesuwaly się po twarzach, których nie było. - Biskupia Górka dziękuje za tłumne przybycie. - Cofnęła się o krok. - Proszę się przybliżyć, bo się wszyscy nie pomieszczą. - Podniosła głowę. - Halo, młodzież w tylnych rzędach. Proszę podejść, by zrobić sobie selfie na tle cennego zabytku. - Odwróciła się nieco w stronę baraku. Zastygła z otwartymi ustami, gdyż w ostatnim oknie zafalowała firanka. Ktoś za nią się pojawił w pustym budynku. Otrząsnęła się i zaczerpnęła powietrza. - Stoimy nieopodal zakładu fryzjerskiego na Biskupiej. Już nie przyjmuje do strzyżenia i trwałej parowej, a miał doborową klientelę. - Pan Skokowski przybył tuż po wojnie, już w 1948 roku - improwizowała, nie troszcząc się o ścisłość historyczną. - Od razu zajął się uprzątnięciem gruzów i wkrótce otworzył zakład fryzjerski w budyneczku, z oknami tuż przy ziemi. W środku były tylko dwie salki. - Odwróciła się, wodząc ramieniem za wzrokiem. Brwi nagle podskoczyły do góry. Przeczytała czarne słowa na żółtym plakacie i odwróciła się do wyimaginowanej publiczności. - Nie wiem, jak mogli pomieścić fotele, umywalki i suszarki. Miał klientów, był modny, ba, prestiżowy.

Kształcił uczniów, zdobywali dyplomy mistrzowskie. - Głos nagle zabrzmiał żałośnie jak w prowincjonalnym teatrze. - A teraz czeka go straszna zagłada. - Załamała ręce i znieruchomiała.

Jedyna słuchająca nie złożyła rąk do oklasków, gdyż nie bije się braw na cmentarzu po przemówieniu, wyliczającym zasługi zmarłego, który leży w trumnie, przywalony ziemią.

- Raczysz skinąć głową? - Nie doczekała się słów wybaczenia. Gwałtownie odgarniała włosy z twarzy, nie mogąc uładzić niesfornych włosów ani charakteru. - Mam różne historyjki dla publiczności.

Petra patrząc ponad jej głową, zapytała z wysiłkiem.

- Tak? O czym to?

- O duchach.

- Innym razem - ton głosu był wciąż lodowaty.

Kryśka wytknęła palec na budynek.

- Ale to tutaj się zdarzyło.

- Tu wszystko się skupiło.

- Budynek do rozbiórki - sylabizowała jak dziecko w pierwszej klasie, powtarzające Ala i As, niewidzące jednak ani dziewczynki z kokardką, ani kudłatego pieska, tylko litery. - Kto to jest?! - nagle wytknęła palec na okno z firanką. - Przecież tu nikt nie mieszka. I dlaczego ta kobieta płacze? Na futrynie drzwi wejściowych wciąż była przybita wygrawerowana w miedzi wizytówka z inicjałami fryzjera i jego żony.

Starsza kobieta stała w oknie za odsuniętą firanką i ukrywszy twarz w rozłożonych dłoniach, gorzko płakała. Nagle za gazową latarnią ukazała się postać i posuwała się dziwnymi krokami w ich kierunku.

Biały, zbyt obszerny płaszcz, sięgał do ziemi. Nie zapięła go, nie miał guzików. Duże naszywane kieszenie z przodu i wywatowane ramiona nadały monumentalny kształt drobnej sylwetce. Nogi obute w zniszczone tenisówki zapadały się w piachu. Zatrzymywała się co parę kroków, potrząsała uniesioną stopą i ruszała z wysiłkiem do przodu. Nadeszła od strony wąskiej i tajemniczej ulicy Salwator. Stało przy niej tylko kilka domków, ze stromymi schodami wewnątrz klatki schodowej. Trwały, nie licząc upływających lat, gdyż zapadły w sen, doliczywszy do stu

Miała dużą głowę z powodu chusty, owiniętej kilkakrotnie i zawiązanej nad czołem, jak to robiły niemieckie kobiety, gdy po wojnie, taszcząc walizy, schodziły w dół ulicy Biskupiej, by zdążyć na ostatni pociąg do Reichu.

Pod przejrzystą tkaniną uwypuklały się równe rzędy lokówek, na które nakręciła włosy. Stała przed drzwiami zakładu fryzjerskiego i poruszyła klamką, mocno i gwałtownie, na dół i do góry. - Panie Skokowski! Otwórz pan. - Zapukała, zrobiła przerwę i znowu posłała znaki morsa w przeszłość. - Tu klientka. Przyszłam na trwałą parową, jedyną w mieście. Byliśmy umówieni na tę godzinę.

Fryzjer nie stanął na progu swego zakładu. W oknie na piętrze po prawej stronie zafalowała firanka. Dziwaczka podeszła do okna obok drzwi wejściowych i osłoniwszy oczy rękami, zaglądnęła do wnętrza.

- Kto to jest? - zapytała głośno Krycha. - Widzę ją pierwszy raz. Słyszałaś o niej kiedyś? - Oglądała kobietę, sunąc beczelnie wzrokiem od zapiaszczonych tenisówek po szwabską chustkę. Uśmiechnęła się z triumfem. Wpadła bowiem na pomysł, znakomity w jej mniemaniu. - Jak zdam wreszcie ten egzamin i stanę się miejskim przewodnikiem, będę ją pokazywać, zrobię z niej atrakcję dzielnicy. - Zmierzyła ją ostro. - Chyba nie jest agresywna. Jakby się zaczęła awanturować, damy jej wódki i tabletkę uspokajającą. - Nie liczyła się z tą kobietą, była to przecież nędzarka z ulicy.

Kierowniczką już otwierała usta, by skarcić dziewczynę, bo ocenia innych po odzieży. Przecież może się zdarzyć, że i jej okaże pogardę pani ubrana w drogą odzież. Kiwnie na nią palcem, uchyliwszy

okienko Lamborghini. Wtedy ona, Krycha, w swej najdroższej sukience, zrówna się z tą śmieciarą z ulicy. Zostanie odarta z godności. Wykształcenie stanie się nieważne, doświadczenie warte splunięcia, życie duchowe ujęte w śmieszny cudzysłów. Zostanie oceniona tylko jej najlepsza sukienka, uznana za nędzną szmatę. Nie było teraz czasu na objaśnianie, jak należy traktować ludzi. Owszem, kobieta była biedna, ale czyż wolno się nad nią głośno litować?

- Znasz ją? Co to za szmaciara? No mów - nakazywała głośno - jesteś tu po imieniu z każdą lumpiarą, pani kierowniczo.

- Troszkę ciszej, jeśli można prosić - pani Petra pochyliła się do jej ucha.

- O. jaka uprzejma się zrobiła. I to wszystko dla takiej... - odwróciła się ku nieznajomej, ale nie było jej na poprzednim miejscu.

W oknie po prawej stronie lokatorka uwieczniona na wizytówce spoglądała na kobietę, która zastukała do drzwi i przyłożyła ucho, nasłuchując kroków i zgrzytu klucza w zamku. Wewnątrz budynku panowała cisza. Nie biegały nawet szczury po pustych podłogach ani też podmuch wiatru dobiegający przez szpary w podłodze nie unosił znad desek włosów pozostałych po czesaniu.

Kobieta w lokówkach stanęła naprzeciwko drzwi.

- Panie Skokowski, otwieraj pan! To ja, Królowa Salvatora.

Drzwi pozostawały zamknięte. Stary fryzjer ani też jego duch nie podszedł na krzywych ze starości nogach, nie włożył klucza do zamka, by go przekręcić z wysiłkiem słabymi palcami, wysunąć głowę przez szparę w uchylonych drzwiach, by zapytać: "Na którą była pani umówiona?". W oknie po prawej stronie stara kobieta czesała włosy peruki nałożonej na plastikową głowę bez twarzy oczu, nosa i ust, i bez kolorów.

- Królowa, ha, ha, hi, hi, hi! - Kryśka wzięła się pod boki. - Otwierać, jej królewska mość was zaszczyciła. Życzy sobie czesanie, ale bez zdejmowania lokówek. Podobno tylko pan potrafi dokonać tej sztuki na całej Biskupiej Górcie, panie Skokowski.

Kierowniczką zastąpiła jej drogę. - Nie poniewieraj ludźmi!

- To szmaciara śmietnikowa - prychnęła Kryśka.

- Milcz!

- Teraz wiem, na co marnujesz miejskie fundusze - wytknęła palec na kobietę w płaszczu. - Ha, ha, to się nazywa rewitalizacja czynnika ludzkiego. - Spojrzała prosto w twarz kierowniczką. - Czego ich uczysz, kultury? Ze śmietnika jedzą rękami. Może fundujesz im bilety do Teatru Szekspirowskiego albo na koncert muzyki klasycznej do Starego Ratusza?

Dziwaczka odwróciła się i wsparła pod boki jak rozzłoszczona kucharka; - A, tak! Królowa! - Podeszła groźnie. - I coś ci powiem!

Krycha, widząc, że się zanosi na awanturę i może nawet dostać pięścią, przeszła na drugą stronę ulicy.

- Nie uciekaj! Do ciebie mówię, blondynko. Nie chcesz usłyszeć prawdy?

Kryśka przyspieszyła kroku.

- Boisz się mnie? - krzyczała kobieta w stronę jej pleców. - Pewnie się wstydzisz i brzydzisz - odwróciła się od niej - a pani kierowniczka mną nie gardzi. - Złożyła przed nią głęboki ukłon. - To ona jest królową dzielnicy. - Podeszła na środek chodnika i podniosła głowę, krzycząc wprost w wąwóz ulicy. - Ja wam to mówię. Ten jest prawdziwy i wartościowy, kto szanuje ludzi.

Kryśka już dochodziła do budynku pod numerem piątym, z tajemniczym oknem zasłoniętym od wewnątrz brązową zasłoną. Kobieta w płaszczu i w lokówkach wołała wielkim głosem, by ją usłyszały domy.

- Jestem tą dzielnicą, jej duchem i duszą. Słyszysz? - posłała zapytanie w stronę uciekającej, a potem mówiła do wszystkiego, co jest. - Salwator to stara i biedna ulica, mieszkam na niej. Jestem nędzarką, ale takich tu wielu. Jak znajdą jakieś grosze, to wydają na wino "W" albo strzelą sobie piwko. To ich wszystko, co sobie wypiją albo zjedzą. A ile przy tym się nagadają, ile naśmieją. Macie do nich pretensje o to, że niczego więcej nie potrzebują? - Zatoczyła ramieniem koło. - Gnieździmy się w mieszkaniach, pokrytych zgnilizną, nawet szafki na ścianach zarosły pleśnią.

Chodzimy po piwnicach i strychach, z lękiem pochylamy głowę pod przegniłymi belkami, chwytamy, co pod ręką i uciekamy, żeby strop nie spadł nam na łeb. Zbieramy butelki i żelastwo po ulicach i śmietnikach. - Podeszła krok bliżej. - I czyja to wina? Nasza? Co my możemy, my biedacy, chyba tylko kłąć, jak idziemy, zataczając się i opierając o mury, by je podtrzymać. - Podniosła głowę z gniewem. - Tylko śmiać się lub płakać. Kto ma ratować dzielnicę! - Głos rozległ się jak z megafonu. Wytknęła palec w stronę pani Petry.

- To wasze zadanie, wy, majętni, wykształceni i mądrzy. Macie znajomości, kontakty i dojścia. Umiecie napisać pismo urzędowe, znacie te wszystkie słówka, których nie rozumiemy, przesyłabizować nie potrafimy. Każdy ma robić coś innego: my śmiać się i kłąć, bo nie mamy intelektu, wasze zadanie: myśleć, tworzyć plany, działać, organizować i dochodzić do celów. Rozumiesz, co do ciebie mówią, ja - uderzyła się ręką w piersi - Królowa Salwatora. Ratuj tę dzielnicę.- Podeszła krok bliżej. - Nic nie osiągnęłaś, jesteśmy sobie równe. Nic mi się nie udało. I w tym jesteśmy takie same. - Nagle podskoczyła do Petry, pochwyciła ją za ramię i z siłą obróciła wokoło. - Patrz, pusta ulica. Nikogo. Halo! Nikt nie odpowiada. Haloo! Nawet echa nie ma. - Obróciła ją w stronę budynku na brzegu skarpy. - Patrz, ścianę podpierają drągi. Zaraz runie - pokazała ramieniem, chyląc się w dół. - Ziuu! Na dno. A wiesz, kto tu mieszkał?

Petra kiwnęła głową. - Wielki pisarz, Bruno Zwarra.

Kobieta popchnęła ją w drugą stronę.

- Za kasztanem było mieszkanko. Gdzie ci ludzie? Pamięta ich tylko stara gazowa latarnia, choć nie widzi bez żarówki. Obok przybudówka, a w niej punkt skupu – wszystko kupował, butelki, makulaturę.

Popatrz, jedzie wóz szmaciarza. Ile okazji dla biedaków, kupił łachy za całe pięć złotych; radość dla dzieci: piłeczki na gumce. Słyszysz, koła turkoczą coraz szybciej, zjeżdża ze skarpy w ciemność przeszłości.

Na Stoku był warzywniak Karamzynów. Dawał biedakom na kredyt, nigdy im nie oddali, rząd narzucił podatki, splajtował. Tam, na Biskupiej była galeria sztuki, przetrwała tylko dwa lata, czynsz był za wysoki. Na skrzyżowaniu po schodkach była pizzeria, pub, przedtem pasmanteria, obuwniczy, każdy zbankrutował. Pod numerem 31 był dobrze zaopatrzony sklep z tkaninami, potem tapicer, na rogu sklep z antykami, kiosk, krawiec, komis meblowy. - Królowa puściła ramię kierowniczkę i uniosła ręce do nieba. - Wszystkie zamknięte. Pusto, głucho. - Otoczyła rękami uszy, nasłuchując martwej ciszy. - Słyszysz dzwony pogrzebowe? Ratuj domy, kamienie z bruku, stare podłogi i schody. Przedwojenne kredensy i fotografie, starych ludzi i ślady ich kroków, życia, które tu mają. I tylko tu, nigdzie indziej! Ratuj miejsce, gdzie mogą żyć. Nie mają innego. Ocal, bo przeszłość jest fundamentem przyszłości. - Uniosła rękę i pokazała zaciśniętą pięść. Komu? Miastu, obojętnym ludziom, czasowi, który stanął?

- Jak mam to zrobić?

Królowa Salwatora podeszła blisko. - Mnie pytasz?

- Jestem sama.

- Zwołaj ludzi, krzycz do nich, hej, ludzie, ratujcie dzielnicę, weźcie się za ręce, opasajcie domy, połączcie siły woli, umysłu i ducha. Działajcie wszyscy razem, bez wyjątku, bogaty czy biedny, wykształcony czy prostak, każdy coś może zrobić.

- Nie usłyszą mnie.

Kobieta stanęła na środku ulicy. Obróciła się naokoło trzy razy, rozkładając ramiona. - Wzywam was, ja, Królowa Salvatora, duch tej dzielnicy i jej dusza, przeszłość we mnie zaklęta, czas uwięziony, magia skupiona, siły zawężlone - obróciła się - wzywam was, pokażcie się, przybywajcie - powtórzyła cztery razy, wysyłając wezwanie we wszystkie strony świata.

Potem rzuciła spojrzenie spod przymrużonych oczu i kiwnęła głową. Nie powiedziała już słowa do stojącej nieruchomo ze splecionymi dłońmi.

Odwróciła się, opuściła ramiona i zaczęła odchodzić piaszczystą ulicą Salvator, wciąż wysypując piasek z podartych butów, ubrana w zbyt obszerny płaszcz, który ją zamienił w wielkiego białego ptaka. Nagle zniknęła w blasku słońca, które wyszło zza chmur.

Petra poczuła gorzki smak na języku. W oknie dawnego fryzjera poruszyła się firanka, jakby ktoś tam jednak był i zaciągnął szybkim ruchem ręki, nie mogąc dłużej na to patrzeć.

Nagle zza zakrętu wybiegła grupka dzieci. Wracały po lekcjach ze szkoły. Każde z nich dźwigało plecak porządnie wypakowany. Liczba rzeczy niezbędnych do nauki ostatnio znacznie wzrosła, i to w okresie wprowadzania informatyzacji. Przekrzykiwały się ze śmiechem. Mówiły naraz, wymachiwały rękami i podskakiwały co chwilę, a ich tornistry podnosiły się i opadały, waląc rytmicznie w plecy.

Petra zeszła na bok, by na nią nie wpadły, i słuchała paplaniny dzieci, co ją bardzo zajmowało. Ze szczytu ulicy nadchodził mężczyzna w kraciastej koszuli i poplamionych smarami džinsach. Trzymał ręce w kieszeni, w jednej z nich, nieco odstającej, miał kanciasty przedmiot. Kiedy Kryśka go spostrzegła, podbiegła, zatrzymała obok i uśmiechając się, trzepała szybko językiem, wstrząsając włosami, a on kiwał potakująco głową, godząc się na wszystko, lecz odsunął ją ramieniem. Odeszła, wcale nieurazona. Wszystko by dla niego zrobiła.

- Moja ciocia, która mieszka w Gdańsku, zawozi samochodem Manuelę do szkoły - powiedziała dziewczynka z różowym plecakiem - i z powrotem do domu. A my idziemy pieszo - westchnęła i poprawiła szelki, które od ciężaru wpijały się w ramiona.

- Jagódka, co ty gadasz! - chłopiec podskoczył ze śmiechu. - Manuela! Co to za imię!

- Z serialu - odpowiedziała dziewczynka z różowym plecakiem.

- A z jakiego? - chciał wiedzieć chłopiec, wciąż skacząc.

- Zapytam taty, on wie wszystko - odpowiedziała z dumą Jagódka, wyjmując komórkę z kieszeni. - Szkoda, że nie macie telefonów, mogłabym z wami rozmawiać jak z Manuelą. Ona wciąż dzwoni do mnie i do wszystkich koleżanek.

Zrobiło się ciepło, wiosna biegła za dziećmi.

- Manuela ma dobrze - westchnęła druga dziewczynka, Dorotka, z niebieskim plecakiem wyjątkowo dużym - wkłada plecak do samochodu. - Odpięła swój i postawiła na ziemi, wypuszczając szelki z rąk.

- A ja słyszałem, że takie są przepisy. - Chłopiec znowu podskoczył.

- Jerzyk, co ty zmyślasz! - strofowała Jagódka.

- A tak! - skakał wokoło dziewczynek. Może nie było mu zbyt ciepło w samym swetrze. Wiosna szła za dziećmi, ale miała szalik, a chłopiec gołą szyję. - Nie wolno dzieci do lat ośmiu pozostawiać bez opieki.

- Czy policja nas zatrzyma? - zaniepokoiła się dziewczynka z niebieskim plecakiem.

- Dorka, cykorka! - wyśmiewał się Jerzyk.

- Przecież jesteśmy w swojej dzielnicy - rzekła z wielką pewnością Jagódka. - Tata mi mówił, że tu jest bezpiecznie. Nie musisz się niczego bać, Dorotko.

- Tylko krowy! - krzyknął Jerzyk. - Muu! - Podniósł ręce do głowy i wystawiwszy wskazujące palce jak rogi, rozganiał dziewczynki, wciąż mucząc.

- Jakiej? Skąd? Znowu zmyślasz. - Jagódka popatrzyła z naganą.

Dorotka wyjęła z kieszeni gumę do żucia. Wyciągnęła rękę do Jerzyka. Chłopiec się ościagał, choć miał wielką ochotę, jego matce nawet nie przyszło do głowy, by mu dać choć ze dwa złote kieszonkowego, bo nie miała z czego.

- Ja wiem - wykrzyknęła Jagódka. Ujęła szelki plecaka Dorotki i wetknęła chłopcu do ręki. Zarzucił go na ramię i włożył gumę do ust.

- Chcesz krówkę? - Jagódka podała chłopcu cukierka, a on jej pomógł zdjąć plecak. Szedł z dwoma plecakami na ramionach, żuł balonówkę i trzymał w ręku cukierka. Jego własny plecak był po prostu przerobioną starą parcianą torbą, i wyjątkowo płaską. Brakowało pieniędzy na zeszyty do ćwiczeń kolorowanki i pudełko na drugie śniadanie.

Gromadkę dzieciaków mijał właśnie mężczyzna w kraciastej koszuli, rozpiętej pod szyją. Szedł skradającym się krokiem i zaciskał pięści w kieszeni.

- Maluchy, nie dla was Krowa - zwolnił, dochodząc do dzieci.

- A dlaczego, proszę pana, dlaczego? - dopytywał się Jerzyk.

- Bo tam jest bardzo stromo. Jak się rozpędzisz, to się nie zatrzymasz aż na dole, a tam jezdnią, samochody pędzą w obie strony, a ty lecisz wprost pod koła.

- E, proszę pana - Jerzyk aż się wyprostował z dumy - od tej krawędzi jadą tylko w jedną stronę.

- Ale na Krowie straszy - rzekł cicho mężczyzna.

- Straszy? - Jerzyk zrobił wielkie oczy, a dziewczynki pochwyciły się za ręce.

- O, słyszycie? Coś zaskrzypiało - rzekł nieznajomy.

- E, nic - zaprzeczył Jerzyk, ale rozejrzał się wokół - rzeczywiście i ja słyszę. To chyba gałąź.

- Na gałęzi wtedy nie wieszali - zaprzeczył mężczyzna.

- Na szubienicy - dodał cicho Jerzyk.

- I to ona tak skrzypi od tamtego czasu.

Dzieci stały przerażone.

- A jak pójdziesz tam w nocy, możesz kogoś spotkać - ostrzegł mężczyzna.

- Ducha - szepnęła Dorotka.

Dziewczynki, wciąż trzymając się za ręce, puściły się biegiem, mimo że ulica wiodła pod górę.

- E, ja nie wierzę w duchy - zastrzegł Jerzyk.

- Tam są - upierał się mężczyzna - pilnują skarbów. Strzałki pokazują drogę na ceglanych ścianach.

- Pan szukał?

- Na pewno znajdę.

Chłopiec otworzył usta, by o coś zapytać.

- Widzisz, jak tu jest? - Mężczyzna pokazał ruchem ramienia. - Wszędzie w dół.

I zostawiwszy chłopca, ruszył szybko w jedynym możliwym kierunku. Przynajmniej dla niego.

Potrzebował strzałek. Choćby jednej.

Kiedy odbiegły w górę ulicy, a za nimi Jerzyk dźwigający plecaki, miała wciąż w oczach dziewczynkę, o imieniu Jagódka, trzymającą przy uchu komórkę. Dzieci już nie było widać, a ona spoglądała za nimi i nasłuchiwała ich wesołych głosów.

Zrobiła krok do przodu i wyszła z cienia. Oblał ją blask słońca. W wyobraźni zobaczyła ludzi z dzielnicy. Trzymali smartfony, wybierając numery z pokoju przyjaciół. Dodawali znajomych. W całej dzielnicy rozdzwoniły się telefony. Stawali w oknach, trzymając aparat przy uchu. Rozmawiali, machając do sąsiada po drugiej stronie ulicy. Stał w oknie, uśmiechał się i robił przyjazny gest.

Szybkim ruchem wyjęła komórkę i nie wahając się, wybrała numer.

- Halo, pani dyrektor?

Ta od razu się zgodziła na propozycję. Nie będzie wszystkiego robić sama, jak dotychczas. Szła szybko w stronę szkoły, gdzie już ktoś na nią czekał z polecenia konkretnej dyrektorki. Umożliwi skupienie ludzi wokół niej. Jeszcze przed chwilą czuła się bezradna. Królowa Salwatora zainspirowała ją do działania, a słowa dzieci podpowiedziały sposób wykonania. Jakże to teraz wydawało się proste, jak oczywiste i logiczne. Podpowiedź dały zwykłe wydarzenia, które mogły zajść każdego dnia, należało tylko je dostrzec, ale mimo wszystko uznała, że to magia, która wypełnia tę miejsce. Dzielnica leżała przed nią ogromna i ciemna i przyglądała się, oczekując. Kochała to miejsce, te spadziste ulice, domy solidne i porządne, lecz najbardziej urzekały ją proporcje architektury, myśl, zawarta w układzie budynków, odstępach pomiędzy oknami i stosunku pięter do długości ścian. Dla niej był to złoty podział i zawsze, kiedy przemierzała ulice, chłonęła piękno załomów, zakrętów i wynurzających się zza nich tajemniczych budynków, mimo że tak dobrze je znała. Dzielnica niszczała. Zbudowana w roku 1870, od tego czasu przeszła ataki dwóch wojen. Największe zniszczenia zrobiły ludzkie ręce, czy to z niedbalstwa, niewiedzy czy zwykłej głupoty.

Mężczyzna w kraciastej koszuli, mijając ją, pochylił się w ukłonie. Zmierzali w to samo miejsce, ale z pewnością z odmiennego powodu.

Pan doktor Lipnicki zbiegł ze schodów jak małałat. Na ostatnim stopniu się potknął i zatrzymał. Domyślił się, że to jakiś znak. Uchwycił się poręczy obiema rękami i pochyliwszy się, wbił wzrok w ziemię. Od razu odgadł, jakie popełnił wykroczenie wobec energii: odmówił wsparcia Gospodarskiemu, a ten chce wystąpić do Urzędu, aby nadano drzewu, które się nazywa buk, status pomnika przyrody. Pomyśl ma sto procent szans powodzenia. Zezwolenie dostanie pstryknięciem palców, wystarczy sprokurować pismo i zanieść do okienka podawczego. Urząd wręcz czeka na takie działania, chwyta dowody wszelkich postaw obywatelskich. Nadanie imienia to uroczystość, na pewno zaszczyci je pan prezydent miasta i jak zawsze przy takiej okazji wygłosi piękne przemówienie. Stojąca obok urzędniczka czeka na gest, przyciskając do piersi teczkę ze złotym napisem Urząd Miejski. Zanim pan prezydent zwróci się ku niej, wyjmie sztywną kartę z logo i pieczętą, zrobi krok, obrót i już dokument zostaje wręczony. Zebrani obywatele usłyszą nazwisko pomysłodawcy: Gospodarski. Wbija się im w pamięć, pozostając na zawsze, podobnie jak przytwierdzona już do pnia drzewa urzędowa tablica. Będzie głosić chwałę pomysłodawcy.

Lipnicki pochylił się i o mało co nie ucałował stopnia, który okazał się boską ręką opatrności, jak sobie to wciąż powtarzał. Rzucił się do działań. Przebiegł przez jezdnię, zakręcił w lewo, potem w prawo i znowu w lewo i już wbiegał do budynku, gdzie na parterze na stolikach leżał papier z nadrukiem Urzędu. Pochwycił długopis. Pisał starannie, pochylony tak, by nikt nie podejrzwał, czego dotyczy treść dokumentu i nie ukradł mu pomysłu. Gdy skończył, zaparafował je swoim nazwiskiem: Lipnicki, solidnie dociskając długopis. Urzędnik z okienka podawczego wyciągnął rękę.

- Proszę. Dokument składa doktor Lipnicki.

Urzędnik wpisał nazwisko do księgi. Na zawsze.

Nauczyciel informatyki zerwał się od komputera, stojącego na białym biurku przed rzędami szkolnych ławek, teraz pustych.

- Pani dyrektor powiedziała, że pani raczy do nas zawitać.

Weszła pewnym krokiem, wyprostowana i z podniesioną brodą. Otwierała już usta, by mu przekazać swoje żądania, lecz zniweczył zamiar, gestem dłoni wskazując obrotowy fotel, pewnie do niego należący, a teraz uprzejmie przeznaczony dla gościa. Informatyk stanął przy krzeselku po przeciwnej stronie biurka, czekając, aż usiądzie pierwsza.

Słońce wpadało przez okna. Blask odbijał się w monitorach komputerów stojących na uczniowskich stolikach, i w białych klawiaturach, nieskazitelnie czystych. Zajmowały dokładnie środek blatu, żaden nie był przesunięty ani pół centymetra na skos czy centymetr do brzegu. Zauważył zdumienie na jej twarzy.

- To skłania do większej dbałości o czystość. - Wziął butelkę płynu do pielęgnacji i przetarł klawiaturę służbowego komputera, który stał na biurku. Nie ominął ani jednego klawisza, muskając je zarówno z góry, jak i po bokach, po czym odstawił butelkę na to samo miejsce, po prawej stronie monitora, by łatwo po nią sięgnąć. Widocznie czynił to wielokrotnie podczas lekcji, jakie tu prowadził. - Wie pani, jakie są dzieciaki. Wszystkiego chciałyby dotknąć i pokazać palcem na monitorze.

- Naturalna ciekawość.

- Ale czy muszą tak brudzić? - Otarł dokładnie dłonie z nieistniejących resztek płynu, wrzucił serwetkę do kosza pod biurkiem i dopiero wtedy puknął palcem wskazującym w klawiaturę, zasiadając przed monitorem.

- Chcę, aby pan - zaczęła, siadając, lecz fotel niespodziewanie odsunął się do tyłu. Pochwyciła rękoma poręcze i dociągnęła z powrotem do brzegu biurka. Zaciśnęła palce na krawędzi blatu i przez chwilę trzymała, upewniając się, że fotel stoi pewnie, nie odjedzie, a ona głupio i śmiesznie nie będzie machać rękoma. Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy zrobił to umyślnie, by czuła się niepewnie i

uważała na to, co robi i mówi i raczej zajęła się utrzymywaniem fotela we właściwym miejscu, niż patrzyeniem mu na ręce. Na samym początku rozmowy była przegrana.

- Mam określone życzenia dotyczące strony - powiedziała mimo to.

- Pani dyrektor wydała polecenie. - Nie słuchał, wpatrzony w monitor.

Chciała wygrać, próbowała się przebić przez obojętność informatyka, ograniczającego się posłuszeństwem służbowym.

- Dzielnica umiera - zaczęła od innej strony.

Rozłożył ręce.

- Trzeba ratować. - Fotel odjechał wstecz, szybko się pochyliła i podsunęła z powrotem.

Spojrzał na nią, w oczach błysnęły iskry wesołej ironii.

- Potrzebni są ludzie, by o nią walczyć - wyprostowała się, nie dotykając oparcia. Siedziała jak na przesłuchaniu, ale mówiła głośno, trzymając się poręczy, by nie wykonywać gestów, które mogłyby ponownie odsunąć fotel.

Skinął głową, odwracając się do monitora.

- Sama przecież nie mogę. - Uczyniła szybki gest dłońmi, lecz ponownie uchwyciła się poręczy.

- Przecież dokonała pani rzeczy wręcz niemożliwych - dotknął kilkakrotnie ust palcami, jakby grał na klawecie - ten klub na ulicy Biskupiej, czy jak teraz mówią: dom sąsiedzki - uderzał delikatnie, wydobywając muzykę słów - skupia... bo Biskupia. - Pulchne ręce odsunęły się od twarzy.

- Wstrzeliłam się we właściwy moment. Lokal stał pusty.

Informatyk zrobił zdziwioną minę, wyrażającą jednocześnie podziw.

- Nastąpiła nagle moda na otwieranie domów sąsiedzkich. Załatwiłam, co trzeba.
 - Od ręki? Tak łatwo poszło?
 - Ogłoszono konkurs na napisanie programu działania.
 - Wygrała pani, dystansując pewnie na sto procent kandydatury - rzucił ku niej szybkie spojrzenie z uśmiechem - ale się zrobiła awantura. Nie przysporzyła sobie pani zwolenników.
 - Wrzawa w końcu ucichła. Musieli się pogodzić z decyzją niezależnej komisji weryfikacyjnej.
 - Nie wszyscy ją zaakceptowali. Może żywią urazę i czują złość. I przy pierwszej nadarzającej się okazji albo też stworzą taką sytuację...
 - Będą chcieli mnie wykopać - pokiwała głową.
 - Oby na tym poprzestali. - Informatyk dużo wiedział, za dużo.
- Te słowa niosły groźbę, były zapowiedzią ukrytych, wrogich działań. Czarne chmury zbierały się nad jej głową. Nawet współpracowniczka uczyniła aluzję do rzekomych korzyści. Płonąca żmija strachu prześliznęła się przez kręgosłup.
- Chcę prosić ludzi o pomoc we wspólnych działaniach dla dzielnicy - powiedziała głośno i odważnie.
 - Tych, co łążą po ulicach? - Informatyk lekko ruszył brwiami. - Żaden z nich nic nie zrobi. Może wybić szybę w samochodzie.
 - Muszą się stać odpowiedzialni za miejsce, w którym żyją - pokazała ramieniem, spoglądając w okno
 - by chodząc po ulicach, widzieli je, a nie tylko deptali.
 - Biedacy obchodzą właścicielkę pięknej kamienicy, hm.
 - Kupiłam, nie odziedziczyłam pod babci.

- Wielka z pani idealistka, bym powiedział, ale muszę cofnąć te słowa, zważywszy na konkretne działania i rezultaty. - Przeciągnął po niej niewidzącym spojrzeniem.

Nie komentowała takich uwag, choć niemal wszyscy je wygłaszali. Cóż miałaby powiedzieć, że pękłoby jej serce, wraz z upadkiem ostatniej ściany?

- Potrzebuje pani odpowiednich narzędzi.

Skinęła głową.

- W celu rozpowszechniania informacji o stanie dzielnicy - skupił wzrok na monitorze, oczy niczego nie wyrażały.

- Zwołać ludzi, skrzyknąć - powiedziała.

- By się wzięli za rękę, stworzyli wielki łańcuch. - Informatyk gapił się przed siebie.

Nie odgadła, czy drwił, naśladując jej wzniosłe deklaracje. Toczyli pojedynek, a ona przegrała pierwszą rundę. Nie odgadła, po czyjej był stronie, ostrzegając ją przed ewentualnymi knowaniami niewidzialnych wrogów.

- Trzeba założyć stronę - mówił obojętnie, rzucając tylko konieczne informacje, przekonany, że nie zrozumie terminologii.

Chyba jej w ogóle nie słuchał, pewny własnej wiedzy i racji, mimo wypowiedziania konwencjonalnych słów podziwu.

- Pan nawet nie zapytał, o co mi chodzi. - Zaciskała palce na poręczach, nie chcąc głupio odjechać z fotelem aż do drzwi, bo chyba nie powstrzymałby wybuchu śmiechu.

- To oczywiste, czego pani potrzebuje: nowoczesnych narzędzi informatycznych. Nie oczekuję żadnych wyjaśnień. Rozumiem, w jakim celu pani dyrektor skierowała panią do informatyka, mam po prostu zrobić to, czym się tu zajmuję.

Po raz kolejny powoływał się na zarządzenie dyrektorki, co wzbudziło jej podejrzenia. Podkreślał, że chce wypełnić je dokładnie i perfekcyjnie i nic więcej. Czyżby zbyt restrykcyjna dyrektorka hamowała inicjatywę pracownika, ograniczała inwencję, zamykając jego działania w ścisłych granicach przepisów? Albo istniał pomiędzy nimi jakiś konflikt, cicha wojna, zmagania o władzę i wpływy, o znaczenie, i on wypełniał zbyt dokładnie jej zarządzenia, pokazując jak się myli, a może po prostu chciał zachować choćby odrobinę niezależności i szacunku do samego siebie, wskazując w ten sposób, że jest nie tylko wykonawcą polecenia, ale ma własną opinię.

- Tak się teraz robi - przekonywał - to są nowoczesne środki, metody i umiejętności - mówił jak na lekcji. Ponad jej głową rzucił szybkie spojrzenie na komputery na ławkach, widząc przed nimi swoich posłusznych uczniów.

Wyprostował się, trzymając wysoko głowę jak prezydent odzieży, który wchodzi na wybieg w garniturze Armaniego. Palce pomknęły po klawiaturze.

- Zechce pani spojrzeć - obrócił ku niej monitor. - Oryginalne szablony. Dodałem trochę od siebie.

Nie musiała się nawet unosić na fotelu. Cóż za usłużność! Nie dał jej jednak dojść do głosu. Nim zdołała się zorientować w grafice na ekranie, pulchną ręką skierował monitor ku sobie. Znowu otwierał kolejne okna z propozycjami podstronek i zakładek. Palce szalały po klawiaturze, a na monitorze wciąż się pojawiały nowe formy. Usta mu się nie zamykały. Objaśniał, co robi i co będzie można wkładać i zawieszać. Otworzyła usta, by go zastopować, lecz zrezygnowała, wcale by jej nie usłyszał. Obróciła się wraz z fotelem w jedną stronę, a potem w przeciwną, ale nie zwrócił uwagi. Zamknęła usta i je zacisnęła, widząc, jak szaleje, pochłonięty przez system zer i jedynek. Nie może tak

tego zostawić, nie będzie rezygnować ze swoich żądań, by informatyk mógł sobie poszaleć i rządzić jej planami.

- Trzeba uruchomić program społeczny - uczyniła szybki gest w stronę okna, gdzie na ulicy byli pogardzani przez niego ludzie. - Zaczniemy właśnie od tych, którzy są w trudnej sytuacji bytowej - powiedziała głośno.

- Dać im dobre rady - niemal parsknął śmiechem, wciąż wpatrując się w monitor.

- Pomóc w poszukiwaniu pracy, bo nie są biegli w przeglądaniu stron z ofertami - zamilkła i po chwili dodała - nie mają komputerów.

- Dopiszemy kolejną grupę. - Wyjątkowo się godząc z jej opinią, dodawał formy, komponował, nie słuchając, uprzejmy, usłużny i utalentowany.

Nie obróciła się na fotelu w przeciwne strony, by pokazać sprzeciw. Patrzyła ponad jego głowę. Na ciemieniu nastroszyły się włosy, zakręcone i rzadkie, rosnące kępkami. Nagle ręka uniosła się i jej przyklepała. Była pulchna, duża, miękka i wypielęgowana. Zastanawiała się przez chwilę, choć nie była pewna, czy zapisał jej życzenie. Nie mogła go sprawdzić.

- Stare ozdoby wystroju kamienic są wyrzucane na śmietnik podczas remontu mieszkania - mówiła jak do siebie. - Może pan nie pamięta, kiedyś przy framudze był metalowy drążek, za który się pociągało, by uruchomić dzwonek. Zakłada się nowe drzwi wejściowe z domofonami, taka moda, rozkuwają ściany przy drzwiach, niszczą porządek architektury. Przy progu kiedyś stały metalowe skrobaczki, o które się ocierało podeszwy ze śniegu lub błota. Od dawna nie widzę tych rzeczy. Chciałabym choć kilka zachować. Może oddam muzeum miejskiemu, wpierv jednak te przedmioty trzeba odnaleźć, skatalogować, opisać.

- Zdigitalizować - pochylił się ku ekranowi - pokazać w postaci cyfrowej. - Stuknął palcem w klawiaturę, na monitor wskoczyły eksponaty muzealne.- Obrócił ku niej monitor i od razu cofnął. - Muzeum udostępnia w ten sposób swoje historyczne zbiory.

- Pracuje nad tym cały zespół - zastrzegła.

- E, tylko dwie osoby - wiedział lepiej - dałbym radę sam to zrobić.

Był więc lepszy niż pracownicy muzeum, marnował na etacie w podstawówce swoje talenty. Miał więcej umiejętności niż zespół, stąd więc pochodziły przyczyny jego konfliktu z dyrektorką. Swoim ograniczonym przez nakazy działaniem mówił jej, chcesz, to masz, twoja strata, bo mogłabyś mieć więcej.

- I najważniejsza sprawa - zawiesiła głos. Informatyk przybliżył się do ekranu. - Zegar. - Zaciskała ręce na poręczach, by nie się nie ośmieszyć i nie polecieć z fotelem aż pod drzwi. - Wielki zegar na wieży schroniska młodzieżowego. Chyba pan o nim słyszał.

Kiwnął głową. - Zegar - powtórzył bezmyślnie. - Nie mieszkam w tej dzielnicy.

Monitor znowu się okręcił w obie strony, ku niej na sekundę, i natychmiast z powrotem do informatyka. Nic nie zdążyła dostrzec, tym bardziej ocenić i zadecydować.

- Oto mój projekt strony - wskazywał palcem, nie dotykając szkła. - Będzie można dodawać kolejne podstrony: historię dzielnicy, budynków, architekturę. Już dopisuję problem z zegarem - stuknął w klawisze.

- Im dłużej się o tym rozmawia, tym więcej pojawia się tematów, spraw, zagadnień. Wojna podzieliła historię, przełamała. Ludzie, to najważniejsze, jedni odeszli, inni przybyli. Odtworzyć ich życie. Jak widzieli wydarzenia, co zapamiętali.

- Wpisujemy więc tytuł: Wspomnienia.

- Powojenne. Ci ludzie chyba jeszcze żyją, ile mogą mieć lat? Pewnie siedzą w domach. Rzadko wychodzą na ulicę, to się ich przestało zauważać. Może uda się do nich dotrzeć.

- Pewnie wymarli - rzekł, nie podnosząc wzroku.

- Nie skreślajmy ich tak szybko.

Do tej chwili nie uświadamiała sobie, jaki to gigantyczny materiał. Jak to ogarnąć?

- Sama pani nie da rady - informatyk jakby odgadł jej myśli. - To żmudne wpisywanie danych dzień w dzień, ma pani mało czasu, dzielnica się wali.

- Nie popchniemy czasu, bo zegar stoi.

Zmarszczył czoło, nie rozumiejąc jej metafory.

- Ograniczę się do zrobienia strony - uderzył w klawisz, by zapisać dane. - Jak będę gotowy, przedstawię pani projekt.

Znowu zarządzał. Wygrywał z nią na każdym polu, udając uprzejmość i życzliwość.

- Bardzo panu zależy, by mi pomóc - powiedziała chłodno.

- Pani dyrektor wydała mi polecenie służbowe - siedział pochylony i mówił to tak obojętnie, jakby wzruszał ramionami.

Nie mogła z niego wykrzesać ani odrobiny sympatii ani krzty życzliwości. Łudziła się idąc do jego gabinetu, że pan informatyk żywi choć trochę czułości dla tej dzielnicy, skoro włączył się tak silnie i natychmiast. A on jest tylko służbistą. Ale czy wolno jej wymagać emocjonalnego zaangażowania, nie przysła tu po odruch serca, lecz po wykonanie konkretnej pracy. To właśnie otrzymała i powinna się cieszyć, że dostała dobre narzędzie, jak mówił. Odwróciła wzrok. Dlaczego miałby myśleć o innych, a nie o swojej pozycji zawodowej w miejscu pracy.

- Rozumem, nie jest pan związany z tą dzielnicą.

- Jestem tu obcy, poniekąd. Mieszkam w Sopocie.

- Daleko musi pan dojeżdżać codziennie do pracy.

- Mam samochód, właśnie odebrałem go od mechanika Zołzera,

- To tyle - powiedziała, wstając.

Zerwał się z krzeselka.

- Zrobię projekt jak najszybciej - znowu przyklepał włosy na czubku głowy.

- Czas! Czas! - zacisnęła palce. - Ludzie, czas!

- Jest jeszcze jeden ważny element - rzekł powoli. - Pani dyrektor życzyła sobie, żeby przedstawić projekt do jej akceptacji.

- Kontrola?

Przechyliwszy głowę na ramię, podrapał się za uchem. - Przecież jest to dokument opuszczający mury szkoły, to nic, że elektroniczny, ma tę samą wartość co papier, to znaczy, informacyjną.

- A gdzie pani dyrektor przybije pieczęć?

Znowu jego palce uderzyły kilkakrotnie po wargach. Nie chciał wydobyć muzyki jak z klarnetu, lecz powstrzymać cisnące się słowa odpowiedzi. Ten gest i jego treść spowodowały, że spojrzała na niego ze współczuciem i sympatią.

- Wystarczy, że podpisze się na końcu: akceptowała dyrektor szkoły Lucyna Wągieł. - Rozciągnął wargi w uśmiechu - Oczywiście pod moim nazwiskiem: projektował Łukasz Syszkie. - Szysz zabrzmiało jak syk węża.

- Na końcu czego?

- Sprawozdania z wykonanego zadania, oczywiście. - Lekko wzruszył ramionami.

- Poświęcił pan dla mnie czas.

- Służbowy. - Wykrzywił usta w uśmiechu i zatrzymał się przy drzwiach. - Jeszcze jedna sprawa, chodzi o finanse. Oczywiście nie dla mnie - zastrzegł skwapliwie. Jako pracownik szkoły wykonuję ten projekt w ramach obowiązków, zleconych mi przez dyrektorkę. Chodzi o zapłatę za hosting, no i za domenę. Ceny mogą być różnej rozpiętości, to kilkaset złotych. Trzeba również zapłacić za szablony, jeśli nie zaakceptuje pani tych, co wybrałem.

- Polegam na panu.

Nie zareagował.

- Powinna pani wystąpić o dotację do Urzędu.

Potrząsnęła przecząco głową. - Otrzymałam fundusze na program społeczny, rozliczam się z każdej wydanej złotówki - przesunęła ręką w poziomie, jakby skreślała jego propozycję - pokryję to z własnych pieniędzy.

- Będzie miała pani z tego korzyści.

- Nie myślałam o tym, jakie? - wyjawiała swą obojętność dla zarabiania pieniędzy.

- Domena będzie pani własnością i pod pani całkowitym zarządem. Nikt nie będzie mógł jej przejąć ani też żądać umieszczenia jakichkolwiek treści, co do których miałaby pani obiekcje.

- Nie zamierzam zamieszczać niczego, co mogłoby stać się powodem konfliktu.

- Chce pani zawieszać wspomnienia ludzi, ich wypowiedzi na temat współczesnych działań - przerwał i chwilę się zastanowił - i spraw remontów budynków. Krytykowała pani niszczenie ozdób i detali

architektonicznych na ścianach, co może wzbudzać kontrowersje, wielu się zapatruje inaczej na daną sprawę, ludzie chcą mieszkać nowoczesnie. Urząd z pewnością skupia się na cięciu kosztów, to może stworzyć poważne powody do konfliktów.

Wbrew jej wrażeniu, dokładnie słuchał, o czym mówiła, doskonale rozumiał intencje i z pewnością wszystko ujął w projekcie. Niesłusznie go oceniła, posądzając o prywatne rozgrywki. Sprawa ze zbyt ruchomym fotelem również nie była atakiem, innego nie było w tym pomieszczeniu.

- Ma pan rację. To zapewni mi niezależność, swobodę wypowiedzi i znaczne pole manewru - podała mu rękę - dziękuję.

Jak przypuszczała, jego ręka była miękka i pulchna, ale nie on cały.

Odprowadził ją do drzwi. - Bibliotekarka chciałaby panią poprosić do siebie na chwilę. Ma coś ważnego - powiedział, naciskając klamkę.

Zatrzymała się w progu.

- Chcę jeszcze zamienić słowo z panią dyrektorem.

- Zadzwoni, jak będzie wolna. - Czekał z ręką na klamce. - Czy mogę zaprowadzić panią do biblioteki?

Na korytarzu oparty o ścianę, stał mężczyzna w kraciastej koszuli. Ukłonił się kierownicze po raz drugi, wciąż trzymając w kieszeni zaciśniętą rękę.

Nauczyciel zatrzasnął drzwi. - Co tu robisz, Mysza? Jakiś problem z samochodem?

Minął go, odwracając się plecami. - To człowiek od mechanika - rzekł lekceważąco. - Wyciągniętym ramieniem wskazywał jej drogę, chociaż wiodła prosto szerokim jasnym korytarzem o parkietowej podłodze.

- Elwiro - rzekł, gdy otworzył oszklone drzwi. Bibliotekarka zerwała się z krzesła na ich widok. - Gość.

- Łukasz od razu mi powiedział, że pani przyszła do szkoły - policzki zapłonęły, gdy wypowiedziała imię mężczyzny. Odsunęła fotel sprzed swojego biurka. Był nieduży i stabilny, mimo to Petra zajmowała go delikatnie i z wahaniem, spoglądając w oczy bibliotekarce.

Drobna dziewczyna w okularach wciąż stała, oddzielona biurkiem.

- Łukasz mi powiedział - powtórzyła, oblizując usta - że pani zamierza uruchomić projekt ratowania dzielnicy, skierowany do wszystkich.

- I do ciebie też - wytknęła palec w kierunku słuchającej. - Wierzę, że się przyłączysz.

- Wiem, jak ocalić dzielnicę od upadku - bibliotekarka opadła na krzesło.

- Co to za projekt?

- To rzecz wielkiej wagi... - zerwała się - tylko pani mogę powierzyć. - Pochyliła się i mocowała się z zakleszczoną szufladą, czy raczej z własną decyzją.

Petra rozejrzała się po sali bibliotecznej: na ścianach wisiało wiele gablot, a w nich obrazki, rysunki dzieci, duże napisy "Konkurs - napisz baśń o swojej ulicy", "W każdy czwartek spotkania z psychologiem".

Drobna bibliotekarka okazała się tytanem pracy, organizowała wiele przedsięwzięć, zachęcała do udziału nie tylko dzieci, ale i rodziców. Idealna osoba do współpracy, zna kilkaset osób, ale czy można obarczyć zaharowaną kobietę dodatkowymi obowiązkami? I co na to pani dyrektor, kto poprosi groźną przedstawicielkę władzy o zgodę? Nie wiadomo, czy bibliotekarce starczy odwagi.

Na korkowych tablicach ogłoszeń wisiały przybite pinezkami zaproszenia skierowane do uczniów i rodziców. Pomyślała, że wkrótce przestaną być potrzebne. Pan informatyk, uzyskawszy podpis dyrektorki, uruchomi stronę. Bez problemu włączy bibliotekarkę do swoich działań. Wyzyska jej umiejętności, przedsiębiorczość i pracowitość na rzecz dzielnicy. Czekala z zachęcającą miną, aż bibliotekarka pokona wewnętrzne opory.

- Nie wiem, czy mi wolno, ale pani powinna to mieć w swojej pieczy. - Dziewczyna skierowała na nią wzrok, oczy mocno lśniły.

Petra ściągnęła brwi, odgadła, że to bibliotekarka usiłuje ją czymś obarczyć i wciągnąć w sprawy, z którymi nie mogła się uporać. Rozłożyła ręce, po czym oparła je na poręczach, zamierzając wstać i odejść.

- Ale to nie może tu pozostać ani chwili dłużej - dziewczyna rozejrzała się niespokojnie po sali, upewniając się, że nikt nie słyszy.

Petra podążyła za jej wzrokiem po regałach ustawionych równolegle do siebie, pełnych książek. Panował spokój, czuć było zapach papieru. Nigdzie nie czaił się groźny donosiciel, chyba że w umyśle bibliotekarki.

Dziewczyna uchwyciła się krawędzi biurka, uniosła się z krzesła i przechyliła silnie do przodu. - To wielka tajemnica. Nic, ani jedno słowo, czy aluzja nie może opuścić tej sali.

Rzuciła badawcze spojrzenie sponad okularów, pochyliła się w prawo i szarpnęła za uchwyt dolnej szuflady. Krzywiąc się z wysiłku, wysuwała ją po centymetrze. Zawahała się, jakby chcąc popchnąć szufladę z powrotem i zatrzasnąć.

Petra unosiła się z fotela, nie mając zamiaru dać się wciągnąć w sprawy, które powinny pozostawać w ukryciu. Bibliotekarka zbladła, jakby miała zemdleć. Wyciągnęła szuflady grubą księgę w płóciennym oprawie, podartej na brzegach, gdzie niewprawna ręka narysowała naiwne, zielone girlandy. Ręce

drżały, nabrała powietrza i rzuciła ją na biurko, jakby sparzyła palce. Gwałtownym ruchem przesunęła księgę na przeciwną stronę biurka i ją obróciła. Na środku okładki widniały kulfoniaste litery: "Kronika szkolna".

Pochyliwszy się nad biurkiem, chwyciła za brzeg okładki, przyciskała chwilę i szybko ją odgięła. Fotografie przyklejone na kartce stykały się brzegami. Pod zdjęciem uczniowskie pismo: "Otwarcie szkoły 1 września. Przemawia dyrektor".

Stał z podniesioną głową przed szeregami nauczycieli i uczniów, zgromadzonych przed szkołą. Plac nie został jeszcze uporządkowany: ziemia zryta, ledwo przyklepana. Czubki butów się zagłębiały, wszyscy stali jak w błocie.

Bibliotekarka przycisnęła tam palec, choć nie musiała wskazywać, potem obróciła kartkę. Kolejne fotografie, czarnobiałe, pokazywały dzieci siedzące w klasach, nauczycieli przed tablicą, głównie kobiety. Niemal każda, przynajmniej na zdjęciu, była ubrana w bluzkę, zwykle białą i w spódnicę, sięgającą nieco przed kostki nóg.

Petrę ogarnęło wzruszenie. Widziała siebie w pierwszej klasie, w granatowym fartuszk z białym kołnierzykiem.

Nagle drzwi się otworzyły i na progu stanął uczeń. Nie miał odwagi wejść, zobaczywszy obcą osobę, pochyloną nad biurkiem.

- Proszę pani - rzekł błagalnie, zwracając się do bibliotekarki.

- Biblioteka zamknięta.

- Proszę go nie odsyłać - powiedziała Petra i odwróciła machinalnie kartkę. Spojrzała, szarpnęła się wstecz. Nie spodziewała się takiego widoku na zdjęciach, nie chciała tego oglądać. Nie podejrzewała,

że zostały uwiecznione na zdjęciach. Siedziała nieruchomo, z oczami utkwionymi w przerażające sceny. Wiedziała, że pokazują prawdziwe wydarzenia.

- Co chcesz wypożyczyć? Mów.

- Nie wiem.

- Mam coś specjalnie dla ciebie. - Weszła pomiędzy regały, chłopiec za nią. - Proszę, bierz.

- Czytałem. - Odwrócił głowę.

Plasnęły o blat stolika rzucone książki.

- Wybieraj, szybko.

- Widziałem tę panią w telewizji - patrzył na gościa wielkimi oczami.

- Chcę dokończyć rozmowę.

- Mogę posłuchać?

- Bierz książkę i do widzenia.

Bibliotekarka podeszła do następnego regału. Chłopiec pociągnął za grzbiety książek, uderzały o podłogę jedna po drugiej. Pochyliwszy się, zbierała je i rzucała na stolik.

- Krzysiu, a ty tutaj?

Petra wyjrzała za regał. Na małym stołeczku siedział chłopiec, może siedmioletni, pochylony nad książką.

- Cały czas tu jesteś?

Unióśł głowę i nieobecny wzrokiem patrzył do góry na bibliotekarkę.

- Nie poszedłeś do domu na obiad?

Milczenie.

- Zostań, czytaj sobie, jak długo chcesz.

Podeszła do chłopca szukającego pasjonującej książki.

- Biorę tę.

- Poproszę.

- Chciałbym wypożyczyć, proszę.

Elwira podeszła do biurka i wbiła na komputerze numer książki na konto chłopca.

- Nie mam sumienia odesłać Krzysia do domu - skończyła wpisywanie. - Nie dostanie tam obiadu.

- Szkoła musi zorganizować dożywianie. Przecież ten chłopczyk nie jest jedynym, który nie jada obiadów. - Idąc do szkoły, spotkała przecież grupkę dzieci. Jerzyk, w samym sweterku, z parcianą torbą na plecach zamiast plecaka, przyjął od dziewczynek gumę do żucia i cukierka jako swoistą zapłatę za dźwiganie im ciężkich plecaków. Na niego nie czekał z pewnością obiad na stole, a być może musiał sobie na niego zapracować, podobnie jak na przyjemności.

- Nie nadążamy, wciąż rozwiązujemy nowe problemy. Rodzice tracą pracę, w dzielnicy niczego nie znajdują, każdy biznes tu umiera - mówiła bibliotekarka nerwowo, jakby się usprawiedliwiając. - Ciągłe zwracamy się do Urzędu o fundusze.

- Muszą się znaleźć na tego rodzaju potrzeby.

- Tylko kiedy - zauważyła bibliotekarka - a Krzyś pozostaje głodny.

- Zdobywanie kasy to zadanie dyrekcji.

Na tak bezceremonialne określenie obowiązków dyrektorki Elwira aż zadrżała. Petra postanowiła, że skłoni dyrektorkę do szybszych działań, gdy tylko skończy rozmowę w bibliotece i uda się do jej gabinetu. Może zwrócić się o pomoc do Caritasu? W każdym bądź razie, podejmie ten temat. Szukała pomysłów i rozwiązań, choć przecież nie należały do zakresu jej działań, jednakże wszystko, co dotyczyło dzielnicy, leżało jej na sercu.

- Zamknij za sobą drzwi - Elwira zawołała za wychodzącym chłopcem.

Wyjęła z lewej części biurka paczkę ciasteczek z galaretką i kartonik z napojem. Podeszła do Krzysia i położyła mu poczęstunek na książce. Szła szybko z powrotem do biurka, machinalnie dociskając książki na półkach.

Sprawdziwszy wzrokiem, czy drzwi są zamknięte, pochyliła się nad biurkiem. Przytrzymała ręką kartę, zanim zostanie obrócona, z czym obie zwlekały. Z boku wystawały trzy postrzępione. Wyrwano je, by wyrzucić, gdyż musiały zawierać szczególnie drastyczne szczegóły, ale ocalały. Nie wiadomo, kto pilnował całości i strzegł tajemnicy.

- Umyślnie włożyłam ten album w zniszczone okładki od starej kroniki, którą znalazłam w archiwum szkoły. - Ręka Elwiry lekko drżała na brzegu księgi, jakby się wciąż wahała przed ujawnieniem dalszych treści.

- Pani wie, co tu było?

- Na terenie, na którym postawiono szkołę?

Elwira przytaknęła głową, odwracając kartę. Na całej stronie przyklejono fotografie, stykające się brzegami. Pokazywały nagrobki z nazwiskami, grobowce z kratami jako drzwi, czarne marmury, kosztowne groby rodzinne, dowodzące wysokiego statusu, jaki mieli za życia i po śmierci. Niemieckie nazwiska, daty narodzin, daty śmierci dowodziły pochodzenia i wyznania.

Bibliotekarka obróciła kartę. Na całą stronę przyklejono kartkę z maszynopisu. "Był tu śliczny cmentarz. Zarządca cmentarza mieszkał na Salwatorze, w oddzielnym domku z ogrodem. Dom pogrzebowy był niżej. Wydeptano ścieżki, szło się między pomnikami, schodziło się tamtędy w dół. Te pomniki były aż do Raduni. Część pomników porozbijano. Był tam dość duży plac. Jako dzieci, chodziliśmy na niego grać w piłkę. Wszędzie się walało bardzo dużo kości, nikt ich nie zbierał. Jak natrafiło się na nią nogą, to się odrzucało na bok i sprawa załatwiona."

Elwira obróciła kartkę. Zdjęcia pokazywały nagrobki powojenne.

- Proszę popatrzeć, wyrzeźbione litery utraciły gotyckie zawijasy, choć nazwiska dowodziły niemieckiego pochodzenia zmarłych. - Głos brzmiał głucho, jakby przebijał się przez zwały ziemi. - Pozostali w Gdańsku po zakończeniu wojny.

Połowę strony zajmowała wąska kartka maszynopisu: "Z powodu ograniczonego miejsca w otoczonym fortyfikacjami Gdańsku rozpoczęto zamykanie oraz likwidację przepelnionych cmentarzy przykościelnych. Zakładano nekropolie poza wałami, również u podnóża Biskupiej Góry. Teren pomiędzy dzisiejszymi ulicami Na Stoku, Salwator, a Kanałem Raduni był częścią cmentarza kościoła św. Zbawiciela na Zaroślaku. Założono go zaraz po zarazie w 1634 roku. Północna część została udostępniona parafii św. Jana i na mapach występuje pod nazwą St. Johannis Kirchhof. Chowano także parafian z kościołów św. Katarzyny, Najświętszej Marii Panny, a nawet kaplicy św. Anny. Grzebania zmarłych zaprzestano dopiero w 1946 roku".

W jasnej sali biblioteki chłopczyk, siedzący w głębi za regałami, zajadał ciasteczka, czytając książkę. Stopy trzymał na podłodze, a pod nią wciąż tkwiło w głębi ziemi to, co w niej pozostawiono.

- Cmentarz zamknięto, to znaczy, nie kopano już grobów - powiedziała bibliotekarka, spoglądając sponad okularów.

W jej wzroku coś się czało, usiłowała to ukryć, zepchnąć w zapomnienie, czy nawet w pustą przestrzeń, gdzie byłoby tak niewidoczne, że nieistniejące.

Obróciła następną kartę. Stary traktor, typu Zetor spychał na stos przewrócone nagrobki. Leżały jeden na drugim, wiele z nich popękało. Wszędzie wałały się kawałki płyt. Robotnicy pracowali na dniówkę, bardzo się spieszyli. Na następnej stronie ze zdjęciami, zaczepiwszy nagrobne płyty hakami, ciągnęli je, co sprawiało wrażenie, że po ziemi wloką człowieka za głowę. Kolejne strony pokazywały pusty już prostokąt placu, rowki po grabiach na miękkiej ziemi i płaskie ślady po łopacie, którą uklepywano nierówności.

- Wie pani, co potem nastąpiło? - Głos jej brzmiał ochryple, zduszony przerażeniem.

- Masz to na zdjęciach?

Elwira odwróciła kartkę. Następna była wydarta i przeznaczona na zniszczenie, aby nikt tych zdjęć nie oglądał. Zrobiono głębokie wykopy pod fundamenty. Na brzegu leżały poukładane ludzkie czaszki, obok w rowie szare kości rzucono na dno. Z łopat robotników sypała się na nie czarna ziemia.

- Wszystko robili jednocześnie, spieszyli się - rzekła Elwira - trzeba było zbudować szkołę. Partia się niecierpliwiła.

Petra otrząsnęła przecząco głową. - Nie tylko to powodowało tak haniebne zachowania.

- Trafne określenie.

- Te szczątki pozostały po Niemcach. Nikt wtedy nie myślał o szacunku dla zmarłych wrogów. - Zamilkła, niepewna, czy bibliotekarka dostrzegała proces zmian etycznych. Nie istniała idea uznająca wrogów za ludzi. Minęły dziesiątki lat, zanim żołnierze spotykali się jak człowiek z człowiekiem, i napisano te pamiętne słowa: "Przebaczmy i prosimy o przebaczenie". Dziwiono się wtedy i oburzano, pytając: "Co oni mają nam przebaczyć?".

Jeszcze więcej czasu minęło, zanim w Gdańsku powstał Cmentarz Nieistniejących Cmentarzy. Umieszczono tam nagrobki, przetransportowane ze starych nekropolii, bez różnicowania narodowości i wiary i podczas święta Zmarłych gdańszczanie przychodzą, by stać w milczeniu, a księża różnych wyznań odmawiają modlitwę w swoich językach.

Elwira opierała się obiema rękami o biurko i już nie obracała kart. Po chwili milczenia, kiedy obie przymierzyły przeczytane słowa do swoich zasad moralnych, bibliotekarka przesunęła książkę na przeciwną stronę biurka. Uczyniła to szybkim ruchem, strącając ciężar, który leżał na jej sercu i sumieniu.

- Zechce pani zabrać ją ze sobą - ton jej głosu brzmiał rozkazująco.

- Dlaczego? - Nie spodziewała się takiego obrotu tej trudnej sprawy. Sądziła, że skończy się na konsultacji projektu historycznego, związanego z księgą.

Bibliotekarka zniżyła głos do szeptu i potrząsnęła głową.

- Nie mogę trzymać albumu w bibliotece. Zamykam go w szafie, ale rano po przyjściu do pracy, od razu się rzucam do otwierania drzwi, by sprawdzić, czy leży na półce. Przed wyjściem do domu po skończonej pracy, otwieram szafę i dotykam książki, jakbym chciała wcisnąć ją w półkę i nakazać jej, by się nie poruszyła. W ciągu dnia myślę ze strachem, co bym zrobiła, gdyby weszła pani dyrektor i każąc mi wyjąć coś z szafy, zapytała głośno i ze zdziwieniem: "A co to takiego?". Każdy może mieć dostęp do zdjęć - mówiła z przerażeniem. - W szafie trzymam rzeczy przydatne w procesie nauczania. Może informatyk czegoś potrzebować, czy ktoś z grona pedagogicznego. A jeśli nauczyciel historii zapyta: "O, jaki stary album. Czy mogę obejrzeć i pokazać na lekcji?". Informacja ukryta w księdze to bomba z zapalonym lontem. Gdyby zdjęcia zobaczyli rodzice - bibliotekarka uniosła ręce do twarzy i na chwilę zasłoniła oczy - utraciliby zaufanie do szkoły, mając żal o to, że szkoła stoi na kościach i czaszkach, a im o tym nie powiedziano. To zrujnowałoby szkołę. Mogłoby doprowadzić do jej zamknięcia w atmosferze skandalu. Nie zdołają wyrzucić z głowy tych scen. Jeszcze po dziesiątkach

lat będą sobie przypominać i opowiadać, jak było naprawdę - potrząsnęła głową. - Nie mogę tego również wynieść do domu, to jednak własność szkoły. Pani dyrektor, gdyby się dowiedziała... - Elwira pochwyciła się za głowę. - Co by to było! - Po chwili jednak opuściła ramiona i założyła je za plecy. - Wie pani, jaka jest dyrektorka.

- Bezwzględnie egzekwuje przepisy.

- Ja tego nie powiedziałam. - Przesuwała ręce w stronę książki i je cofała. Cieniutkie białe palce pełzły po milimetrze, zaginały się i prostowały.

- Pani dyrektor - szepnęła - nigdy mi nie wybaczy. To nielojalność.

Petra nagle wstała z fotela. Elwira rzuciła się w jej stronę, zaginając palce jak kot, który chce o coś zahaczyć pazurkiem.

- Pani jej nie powie, prawda? Nikomu. To straszna tajemnica, to się nie może wydać.

Petra ujęła książkę.

- Nie wiem, czy udźwignę. - Album uderzył z hukiem o blat biurka. - Ciężka.

- Nie dla mnie - uniosła głowę, patrząc wielkimi oczami.

- Przecież głównie dla ciebie.

- Chyba nie mówimy o tym samym. - Elwira pochyliła głowę jakby pod strumień wody.

- Zdecydowanie o czymś innym.

- Wierzyłam w pani dobrą wolę, ufałam, że pani zależy na ocaleniu imienia dzielnicy.

- Nie przekonałaś mnie do swoich intencji. Po prostu boisz się pani dyrektor.

- A co tam, niech mnie wywali. - Pochwyciła księgę obiema rękami i z wysiłkiem podała Petrze. - Proszę.

W tej chwili zajęczał dzwonek telefonu leżącego na biurku. Elwira pchnęła księgę wprost na Petrę, a ona, broniąc się przed uderzeniem, pochwyciła ją za brzegi. Bibliotekarka ujęła palcami czarny aparat i przysunęła do ucha.

- Tak, pani dyrektor - wyszeptała drżącym głosem.

Nie powiedziała już ani słowa, tylko słuchała. Lękliwa uprzejmość na jej twarzy zamieniała się w przerażenie. Opadła na krzesło i głośno wciągnęła powietrze, oddychając szybko. Telefon wciąż zaciskała w ręku.

- Pani dyrektor przeprasza - wyjąkała, blednąc - przyjmie panią w innym terminie.

- Jeśli znajdę czas. - Petra czyniła ruch, jakby chciała rzucić księgę z całej siły na podłogę.

- Nie, proszę. - Elwira zastopowała ręką jej gest. - Stało się coś strasznego - powiedziała, mając policzki blade z przerażenia

Petra uniosła brwi do góry. Elwira rozłożyła ręce w bezradnym geście. Telefon ze stuknięciem upadł na blat biurka. Popchnęła księgę wprost na piersi Petry, czyniąc to z wielką odwagą i siłą.

W tej chwili odezwał się z daleka jęczący straszny i denerwujący dźwięk samochodu policji. Spojrzały na siebie. Elwira rzuciła się do okna. Petra do drzwi. Już nie chciała, nie mogła tu zostać ani chwili. Wybiegła na ulicę. Księga powodowała, że szła powoli, pochylając się na bok. Chciała jak najszybciej odrzucić ją od siebie. Zamknąć w czarnej szafie. Na zawsze.

Na chodniku kłębiła się grupa ludzi. Gestykulowali, wymachiwali ramionami odwracali się, pokazywali kierunek w górę ulicy, potem pochylali się ku sobie i z wrzaskiem wyrzucali wiadomości.

Otwarte usta miały przekleństwa. Zaciśnięte pięści groziły. Wybałuszone oczy pokazywały strach. Biła od nich złość i wściekłość. Klócili się zajadle.

- Co ty mówisz?

- Kto to zrobił?

- Gdzie to się stało?

Ramiona gwałtownym gestem pokazywały kierunek.

- Tam! Tam! Tam!

Tłum nagle wyrwał do przodu.

Petra zbiegła na jednię, by ich ominąć. Nikt nawet na nią nie spojrział. Przyspieszała ile sił, obchodząc ich szerokim łukiem. Nagle za jej plecami rozległ się głośny tupot.

- Z drogi!

W ostatniej chwili uskoczyła w bok. O włos minął ją biegnący mężczyzna, za nim kilku innych. Pognali w górę ulicy Biskupiej, łomocząc buciorami po bruku. I ona biegła, trzymając się linii krawężnika. Omal nie popchnął ją ktoś z grupy wrzeszczących na chodniku.

Podbiegła do budynku i wparła się plecami w ścianę. Wbiła paznokcie w zaciśnięte dłonie. Tak ją potraktowali! Odepchnęli na bok jak zawadę na drodze, nie spojrzawszy, że to ona. To dla nich walczyła o programy społeczne, starała się i poświęcała. Nie zasługiwali na to. Nic nie byli warci, wrzaskliwi awanturnicy, w kurtkach o postrzępionych rękawach.

Takich ludzi miała inspirować do działań o dobro dzielnicy. To beznadziejna walka, głupie zmagania z wiatrakami, bezsensownie młóiącymi powietrze drewnianymi łopatkami. Rozluźniła palce, czując

ból i przycisnęła księgę, by jej nie wypuścić, bo na pewno by się po niej przebiegli buciorami. Rozluźniło się trochę, może zdoła się przemknąć.

- To mogło się zdarzyć każdemu - zawołał mężczyzna w kurtce.

- Nie jesteś pewien dnia ani godziny. - Kobieta uczepliła się jego rękawa.

- To jedna wielka ruina - rzekł starszy człowiek.

- Nic tu nie remontują od samej wojny. Stoi, jak stało - wrzeszczał typ w berecie.

- Wszystko się zawali - jęczała kobieta uczeplona rękawa mężczyzny w kurtce.

- Puść, babo! - wrzasnął.

- Za kogo nas mają! - darł się facet w berecie.

- Za śmieci, o takie - mężczyzna w kurtce rozmiarzył obcasem peta o płytę chodnika.

- Bo tacy jesteśmy - starszy człowiek spojrział z naganą na chodnik.

Nagle zza domów ryk silnika uderzył gęstym skłębionym powietrzem. Minął ich samochód policyjny, przyspieszając. Migający kogut na dachu obracał się jak szalony, syrena zawyła krótko i wściekle. Ostrzegła i zamilkła. Ludzie zamarli, tylko na sekundę.

- Tam!

Ruszyli biegiem w stronę, gdzie się otworzyła bania ciszy.

Niemal wbiła się plecami w mur, zasłaniając księgą. Minęli ją, wrzeszcząc i machając ramionami. Rozwścieczeni jak głodne psy. U dołu ulicy skrzykiwała się kolejna grupa. Przekleństwa waliły salwami.

Pomiędzy ludźmi przeciskał się chłopiec w sweterku. Ramionami ochraniał olbrzymi bukiet dzikich tulipanów. Były żółte z czerwonymi brzegami kielichów. Biegł w dół ulicy, potracali go pędzący w górę rozwścieczeni mężczyźni. Nagle ktoś mocno go potracił. Chłopiec upadł na plecy, nie wypuścił jednakże kwiatów. Mężczyzna zaklął i ominął leżącego. Chłopiec zerwał się z bruku ze łzami w oczach. Kwiaty się nie pogniosły. Skręcił pod ścianę budynku i przeczekał ostatnią grupę biegnących, potem zszedł schodami, przekroczył ulicę i przed Teatrem Szekspirowskim, wchodzący goście usłyszeli głośne wołanie: "Kupi pan kwiaty"!

Oderwała się od ściany, widząc, że grupa gna całą szerokością chodnika. Musi uciec, bo ją przewrócą i stratuja. W ostatniej chwili wpadła do klubu i zatrzymała się za oszklonymi drzwiami, ciężko dysząc. Biegący z dołu ulicy mijali je, była bezpieczna. Odetchnęła, zrobiła krok, rzuciła z rozmachem ciężką księgę na stolik tak silnie, że prześliznęła się przez cały blat i zatrzymawszy na sekundę na przeciwnej krawędzi, z trzaskiem spadła na posadzkę. Nie miała siły podbiec, by pochwycić. Opadła na fotel, którego tym razem nikt nie musiał jej ustępować. Siedziała chwilę, nie myśląc o niczym. Ogarnęło ją zniechęcenie. Nic się nie udało. Przystąpiła do działań z entuzjazmem i energią, z nadzieją na świetny wynik. Poniosła klęskę na każdym polu.

Nie przyciągnęła do swego projektu nawet skromnej bibliotekarki. Wprost przeciwnie: to Elwira wepchnęła jej w ręce księgę z okropnymi fotografiami, obarczając trudnym zadaniem zachowania tajemnicy. Album leżał teraz na podłodze, udając, że jest cichy i obojętny. Schowane w nim zło tylko czekało, że ktoś odchyli okładkę, a wtedy obrazy skoczą mu do oczu jak szczur, gdy się zwolni sprężynkę pułapki.

I ta rozgrywka z informatykiem i dyrektorką w tle. Asertywność, tego zabrakło. Zobaczyła miękkie ręce informatyka, przyklepujące włosy na tyle głowy. Gest wydał się jej wówczas przyzwyczajeniem i natręctwem, teraz odgadła, że pokrywał zakłopotanie. Nauczyciel tkwił pomiędzy młotem a

kowadłem: nie chciał jej obrazić ani też podpaść dyrektorce. Nie mógł zapytać, na czym jej zależy, musiał wypełniać szczegółowe wytyczne dyrektorki.

Zachowywała się zbyt uprzejmie w stosunku do ludzi. Nie postawiła się, nie umie powiedzieć: "Nie!". Na pozór tak bardzo ją szanowali! Kłaniali się z daleka, jak ów Mysz, który przed nią dwa razy pochylił głowę. Chłopczyk w bibliotece zrobił wielkie oczy, bo oglądał ją kiedyś w telewizji. Nie raz bywała zapraszana do studia, by opowiadać o problemach dzielnicy i domagać się publicznie funduszy na remonty, wytykając włodarzom zaniedbania. Spojrzała na wnętrza swoich rąk: sine ślady po paznokciach pokazywały, jak silnie urazili jej dumę.

Nawet jej protegowana, którą wzięła na kurs przewodników miejskich, nie wsparła projektu ratowania zegara. Wprost przeciwnie: wydrwiła go, grożąc, że rozpowie ludziom, jak jest wariacki, szalony i nieodpowiedzialny. I jeszcze ta biedaczka, zwana Królową Salwatora! Obarczyła ją winą i obowiązkiem. Nie powinno jej obchodzić to, co wykrzykiwała, ale miała do niej słabość.

I po co się starać, po co walczyć? Bez sensu ta szarpanina o dobro mieszkańców. Do umysłów nie trafiają argumenty, choć uszy słyszą, bo kierują nimi emocje. Ludzie wyrzucają złość, wściekłość, gniew, bo to ich jedyne reakcje. A potem pójdą napić się wódki. Ogarnęło ją zwątpienie, miała takie chwile, jak każdy. Za oszklonymi drzwiami na chodniku zapanowała cisza.

Nagle komórka w kieszeni spodni zaczęła wibrować. Musiała sprawdzić, chociaż w tej chwili brakowało sił na jakiegokolwiek działania. Spojrzała, przyszedł email z Urzędu. Oparłszy się łokciami o stół, trzymając komórkę w obu rękach, przesuwała kciukami kolejne linijki informacji. "Ogłaszamy wielki program rewitalizacji. Szanse, spójność społeczna, dostęp do kultury, fundusze na remonty". Nagle powróciła energia. Wspaniała wiadomość, niesie wielką szansę, daje ogrom możliwości. Zostaje uruchomiona dźwignia finansowa, można uratować kamienice, dotąd podparte drągami. Przez tyle lat zabiegała o odtworzenie tej pięknej dzielnicy. Ile stron dokumentów zapisała, domagając się choćby remontu starych oficyn, przylegających do tego budynku na Biskupiej cztery. Zmaganie się z

niemocą i brakiem funduszy zajęło tyle lat, że remont stał się niemożliwy. Już było na niego za późno. Podpierane drągami ściany stały skosem, belki stropowe tak przegniły, że drewno kruszyło się w palcach, klatka schodowa się zapadła, nie było czego ratować. Oficyny rozebrano.

Zaczęła czytać od początku, zastanawiając się nad każdym paragrafem i podpunktem, analizując podane warunki i zastrzeżenia. Nagle zrodziło się w jej głowie pytanie: kto jeszcze w dzielnicy otrzymał ten email? Odpowiedziała od razu, że z pewnością tylko ona. Nikt więc nie wie, jakie są szanse, możliwości, nikt nie ma pojęcia o istnieniu tego programu. Najpierw wszyscy muszą się o tym dowiedzieć.

Posłała w myśli niecierpliwe ponaglenie do informatyka, który być może zwlekał z powodu braku pieczętki. Trzeba wszystkich zwołać, byle nie na ulicę, jak teraz, gdy klną, ale przed monitory, na których zobaczą wiadomości umieszczone na stronie, uruchomiona, pchnie sprawy do przodu. Teraz przychylniej oceniła działania, podjęte tego dnia. Zrobiła dobry początek, solidny pierwszy krok. Wyprostowała się i patrząc na ekran komórki, analizowała możliwości i szanse, jakie daje program. Czeka ją ogrom pracy.

Nagle przez szyby znowu dobiegły krzyki i odgłos kroków biegnących grup ludzi. Spojrzała przez okno, awantury rozpały ulice. Dzielnica wrzała strasznymi emocjami. Coś je wzbudziło, coś rozpało ogień pod wielkim kotłem. Nie słuchała, nie chciała wiedzieć. Nie tu jej miejsce ani zadanie. Pochyliła się nad ekranem komórki.